Nr. 14 (1162). Warszawa, dnia 22 Marca (4 Kwietnia) 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ: POLITYKA: Nowy bill dla Irlandyi. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Niektóre spostrzeżenia Marka Twaina. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Z Cesarstwa, p. A. Z—a. — Pomoc społeczna w gospodarstwie kobiecem, p. R. — FEJLETON: Pamiętnik. — BADANIA NAUKOWE: Przemysł i sztuka, p. dr. K. Krauza. — LITERATURA I SZTUKA: Shaw, p. Bertolda Merwina. — Przegląd teatralny, p. Wł. Bukowińskiego. — Odczyty, p. Wł. B. — Notatki literackie i artystyczne. — SPRAWY EKONOMICZNE: Wpływ deszczu na handel. —Prasa rosyjska. —Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

Nowy bill dla Irlandyi.

—•—

Wyspiarze angielscy w XIX w. mają głowy ukształtowane do polityki. Naród przez nich podbity, tracąc swe prawa ostateczne jako naród, zatrzymuje je nadal jako społeczeństwo i ma przytem możność statycznego rozwijania swej narodowości. Nie zażegnywa to ani powstań, ani rewolucyi, ani też ciągłego wrzenia, ale niezależnie od dążności politycznych ustala coraz większy porządek, coraz znośniejsze stosunki społeczne. Taka metoda stosowana od r. 1828 względem Irlandyi wyrwała już z korzeniami ohydne drzewo prawodawstwa prześladowczego Elżbiet, Cromwellów, Wilhelmów i Maryj. Powołanem do takiej trzeźwości było przedewszystkiem stronnictwo liberalne, a powołanie to „wielki starzec“ spełnił świetnie w swych billach; ale i zachowawcze umiało stawać na wysokości wymagań porządku i choćby częściowej sprawiedliwości. Przy zacieraniu się coraz bardziej różnic ideowych między obu wielkimi obozami politycznymi Anglii zachowawcy wydali już z siebie dawniej dwa większe zamierzenia i dodatnie czyny prawodawcze. Obecnie dodają do nich trzeci z rzędu zamiar, bill Wyndhama. Nie jest to ani figiel stronniczy, jakich wiele mają w swej przeszłości stronnictwa angielskie, ani uległość pod naciskiem: jest rzetelne działanie z zamiarem polepszenia losu narodu podbitego, z angielskiej owej przedmiotowości odczuwania i myślenia zrodzone.

Nowy bill godzi w tę ciągle jeszcze jątrzącą się ranę landlordyzmu, którego źródłem najprzedniejszem był wprost rozbój, bądź przez państwo po podbojach i uśmierzaniach, bądź przez wielkorządców i prywatnych awanturników dokonywany. Wiek XIX dopiero zaczął rozwalać stosy nadużyć nagromadzonych przez poprzednie, od połowy XVI-go. Nie zwrócono wprawdzie jeszcze ludowi dziedzictwa jego ziemi; utrzymano fikcyę własności, choćby na 999 lat, według teorematu angielskiego u Blackstone'a; kazano mu płacić za korzystanie z tego, co było jego odwieczną własnością: ale warunki tej grabieży uprawnionej wciąż dlań łagodzono, uprzystępniając mu odzyskanie wydartej ziemi. Bill wniesiony obecnie przez sekretarza stanu Irlandyi prowadzi dalej na tem tle prawnem dzieło Gladstone'a z lat 1870 i 1881, doprowadzone przez zachowawców do billu Balfoura. Ów wymagalnik uprawnień społecznych i odpowiadającego im koniecznego *minimum* dobrobytu jest przewodnią myślą projektu. Rolnictwo w Irlandyi upadło; wszystkie klasy odczuwają tę niedolę. Wyjściem jedynem zamienienie drobnych dzierżawców w drobnych właścicieli, czyli wyparowania landlordów. Państwo angielskie daje dzierżawcom pożyczkę na $2^3/_4$% przez pierwsze trzy lata w wysokości 15 milionów funt. ster. Amortyzacya przy tak nizkiej stopie potrzebować będzie lat $68^1/_2$. Oparcie pożyczce da zasiłek stały, udzielany Irlandyi. Uwłaszczenie wszystkiego ludu irlandzkiego wymagałoby 100 mil. f. st.; Wyndham jednak nie sięga aż do ostatecznego krańca, chce zrobić choćby tylko początek, a wskrzeszając myśl Gladstone'a, w skromnych zamyka ją granicach.

Oprócz owych 15 milionów skarb angielski dopłaciłby jeszcze 12 do funduszu amortyzacyjnego w ratach rocznych, malejących z biegiem czasu. „Skromność“ zatem planu występuje tylko w stosunku do ogromu wymaganego dla całości przedsięwziętej operacyi agrarnej; w każdem innem społeczeństwie byłaby ona hojnością. Ogrom nagromadzonych kapitałów i zasobność budżetowa państwa stawiają wymagania billu, na wysokości środków społecznych i państwowych i od tej strony twórca billu może się czuć bezpiecznym. Ponieważ bill nadaje odrazu posiadanie na własność, a operacya, gdyby całkowicie co do wszystkich gruntów przeprowadzona była, zajęłaby lat piętnaście— wyzucie przeto landlordów z ziemi w czasie tak krótkim może przez wyobraźnię pobudzić samolubstwo polityczne Anglików do oporu. Chociaż i tu jest okoliczność pocieszająca: obdłużenie panów, wysoki szacunek ziemi i możność zdobycia wielkiej gotówki. Miły brzęk tej gotówki dawać będzie przeciwwagę trwogom imaginacyi, a przytem Wyndham nie przeprowadza całkowitego planu, daje parlamentowi dopiero jego pierwszy odłam: następcy dzisiejszych prawodawców będą mogli zawsze przyszłym sekretarzom stanu dalszych odmówić. Zdaje się, że bill przejdzie, a postawa stronnictwa liberalnego, które ustami swego przewódzcy, Campbell-Bannermana powitało nowy środek prawodawczy radośnie, choć go zaprojektowali przeciwnicy, wskazuje, że nawet opozycya podczas rozpraw nie będzie zaogniona i przeważnie ciężar jej spadnie na finansowe zasady projektu.

Sami Irlandczycy jeszcze nie powiedzieli, co zrobią; tylko przewódzca mniej licznych Parnellitów przyznał odrazu przy pierwszem czytaniu, że bill Wyndhama lepszym jest od wszystkich dawniejszych. To wiele, to pozwala przewidywać ostateczne przyjęcie i przez wszystkich Irlandczyków w Izbie gmin, i przez większość

robiących dzieje narodowe. Dowodem powagi działania ze strony rządu, i zarazem okolicznością usuwającą podejrzenia o chęć napchania tylko kieszeni landlordów jest cały szereg przepisów, zabezpieczających przyszłego drobnego właściciela od lichwiarzy agrarnych; zdaje się, że nowe osady pod względem swej podstawy prawnej będą pokrewne *homesteadom*.

Wyndham, w poparciu swego billu, użył trzech wyrażeń na określenie jego pożytków: najpierw zmniejszy on niedolę społeczną, potem zatamuje ruch emigracyjny, a wreszcie kiedyś, gdy go prawodawstwo rozszerzy na całą Irlandyę, rozwiązując kwestyę agrarną, rozwiąże zarazem społeczną i polityczną. Z tych trzech pożytków dwa tylko pierwsze są pewne; trzeci zbyt jeszcze daleko leży, aby można było uprzytomnić sobie warunki, w jakich kwestya społeczna dałaby się rozwiązać przez bill już doskonały. Rozwiązanie kwestyi politycznej zależy od stopnia zwartości i wytrzymałości narodowej Irlandczyków tak wobec prawodawstwa, jak wobec kultury angielskiej. Dopóki Naród Irlandzki żyć będzie poczuciem swej odrębności, zasadnicza kwestya polityczna nie przestanie być ciągle otwartą.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Prawit. Wiestnik podaje dwa znamienne raporty konsulów, jednego z Bitolii, drugiego ze Skoplja. Ruch zbrojny się wzmaga, chociaż Turcy wprowadzają reformy, baszybuzuki dopomagający wojsku tureckiemu, nie dopuszczają się gwałtów, a konsulaty w imieniu Rosyi surowo potępiają działalność komitetów. Zaczynają się już i mordy polityczne, których ofiarami są Serbowie i Turcy. W wilajecie Kosowskim bandy składają się z ludności miast i nauczycieli. Czyny gwałtowne przeciw Turkom noszą charakter jawnie rewolucyjny, a bywają nawet „okrutnymi“; metodą spiskowania Bulgarów jest teroryzm: celuje nim zwłaszcza, wymieniony przez konsula w Skoplju, Selakow. Przewódcy szerzą wieści, jakoby Rosya sprzyjała ruchowi, a opinia w ten sposób podniecana tak się szerzy, iż d. 24 z. m. przybyła z okolic Koczanu deputacya oświadczająca gotowość do walki z Turkami, mimo niechęci do komitetów macedońskich. Wreszcie konsul ze Skoplja donosi, że komitety dążą do tego, aby Turcy utracili w końcu cierpliwość i rzucili się na chrześcian. Jest to nieuniknione, a *attrocities* będą musiały wywołać zmianę programatu. Cały ruch ma charakter wielko-bulgarski; nietylko Turek, ale i Serb i Grek jest wrogiem.

W mateczniku tych żądz, od których może się zająć płomieniem półwysep, w Bulgaryi, na pewne już podawany następca Paprykowa, Sawow, w ostatniej chwili się cofnął. Książę powołał najpierw Cankowa, potem Gieszowa do utworzenia gabinetu; żaden z nich jednak nie odważył się popłynąć przeciwko wodzie, tj. rzetelnie i szczerze wykonać programatu uspokojenia, narzucanego Bulgaryi przez dyplomacyę. Skończyło się na dawnym Danewie, ale i o tym jeszcze powiedzieć nie można, czy się podda. Gdyby on wrócił, przyjąłby i Sawow tekę wojny. Każdy Bulgar wierzy w dobre swoje prawo i skuteczną dla niego ostoję w sile i tylko trzeźwiejsi mogą ruch macedoński uważać za przedwczesny. Książę Ferdynand na pewne oczekuje godności królewskiej. Chwila obecna jest bardzo ważną dla dynamiki politycznej. Prawdopodobnie Rumunia i Serbia zbliżą się do Austryi, co wraz z obroną interesów greckich opóźni rozwiązanie upragnione przez Bulgarów. Z piersi neo-greckiej wychodzi jęk do Europy, aby nie pozwolił kulturze greckiej ginąć w powodzi bulgaryzmu. Wzajemne zawiści narodowe utrudniają rozwiązanie odpowiadające etnografii, ale żadna zawiść nie powstrzyma ruchu, jeśli go rząd bulgarski, jawnie w słowach uległy, potajemnie poprze czynami.

D. 21 z. m. przy obradach nad etatem komisyi kolonizacyjnej Koło polskie (Głębocki) zaprotestowało przeciwko jej działalności i samemu istnieniu gwałcącemu konstytucyę. Celem przez komisyę osiągnąć się mającym jest „wytępienie ludności polskiej,“ wyrażenie nie za silne, bo niczem innem nie byłoby wytępienie polskości, zamierzone przez najazd prawodawczy pruski. Nie przeszkadza wszakże taka otchłań szlachcicom poznańskim lizać progów komisyi. Sprawa agentów tajemnych, wytoczona przez mówcę, jest właściwie sprawą kryjącej się przed światłem podłości sprzedawczyków, i nie sejm pruski był właściwem dla niej forum, ale mownica publiczna przy pręgierzu wzgardy i kary w samem zagrożonem społeczeństwie. Zapędy komisyi powstrzymać powinna zorganizowana lepiej, niż dotychczas, samoobrona ekonomiczna. Nie kapitałów do niej braknie, ale serc — i nie w samem tylko Poznańskiem.

Rząd pruski nareszcie — z powodu niegodziwego postępowania z redaktorami polskimi wydał okólnik, pozwalający uważać redaktorów wogóle za coś lepszego od podpalaczy, złodziejów i morderców i przepisujący odpowiednie postępowanie. Osnowa okólnika nie ma mocy nakazującej.

Sejm Rzeszy odroczył się do 21 kwietnia.

W senacie francuskim Combes zagroził Watykanowi zerwaniem konkordatu, jako ostatecznym skutkiem zajątrzonych stosunków. Nie rząd dzisiejszy jednak dopuści się zerwania, ale radykalniejszy od niego, który kiedyś nastanie. Mowa niezmiernie się podobała, nakazano ją rozlepić we wszystkich gminach Francyi; odrzucono wszakże wniosek bezzwłocznego zerwania z Rzymem. Izba d. 25 z. m. odrzuciła wszystkie podania zakonów kaznodziejskich o dozwolenie działalności; zostawiono do uznania rządu zamykanie klasztorów.

W Paryżu zastrzelił się d. 25 z. m. generał angielski, Macdonald, dowódca południowego okręgu w Indyach Wschodnich, z rezydencyą na Ceylonie. Wykryły się jego czyny obrażające obyczajność, oraz gwałty i okrucieństwa na jeńcach boerskich. Czekał go sąd i hańba. Samobójstwo uwolniło go tylko od sądu.— Anglicy mają rewolucyę, niezupełnie jeszcze uśmierzoną, na Trinidad.

W Hiszpanii Villaverde, minister skarbu, podał się do dymisyi. Izba rozwiązana; nowa d. 18 maja.

Na Węgrzech szerzy się ruch za armią narodową. Szell żąda tymczasowych kredytów; mniejszość nie pozwala uchwalić budżetu. W Zagrzebiu od 27 z. m. rozruchy o napisy wyłącznie węgierskie. Zaczęło się od Węgrów, skrupiło się na Niemcach; przetrzepano ich srodze.

Niektóre spostrzeżenia
MARKA TWAINA.

Ród ludzki kocha się w tych, co mają znaczenie i stanowisko, wysuwające ich na widownię uwagi publicznej. Władzę ceni, o ile przyjemności jej własną obserwacyą i osobistem doświadczeniem stwierdzić może. Jakiś drwal np., który nigdy nie widział lorda i nic o nim nie słyszał, będzie traktował go zupełnie obojętnie, gdy Amerykanin, który mieszkał czas jakiś w Europie i miał możność zaznajomić się z dogodnościami tego stanowiska, będzie lordowi zazdrościł jego znaczenia na równi z każdym przeciętnym Anglikiem.

Dla każdego dostępne jest przedewszystkiem pojęcie władzy w połączeniu z rozgłosem. Tłumy, które się zebrały, aby obejrzeć księcia Henryka pruskiego, przyszły głównie pchane ciekawością zobaczenia tego, o którym cały świat mówi. Rozgłos — oto, czego przedewszystkiem pożąda i jest ciekawa dusza ludzka — nie zdając może nawet sobie z tego sprawy. W każdym czasie, o każdej dnia porze, w którejkolwiek stronie Ameryki można uszczęśliwić pierwszego lepszego przechodnia, mówiąc mu: „Patrz pan, oto idzie p. Rokefeller!“

Lubimy ocierać się o godności i stanowiska, ciekawi jesteśmy tych, o których w świecie głośno; a jeśli uda nam się zwrócić ich uwagę na siebie, nie zapomnimy o tem sami i nie pozwolimy drugim zapomnieć.

Cóż to więc jest stanowisko i rozgłos? Pomyślicie może: to są arystokraci, słynni wodzowie, artyści, literaci, uczeni — i koniec. Wcale nie. Stanowisko, znaczenie można osiągnąć na każdym stopniu drabiny społecznej; na każdym też z tych stopni można zdobyć odznaczenie z nieodłącznem od niego poważaniem i zazdrością.

Cześć dla stanowiska i godności jest niezaprzeczonym przywilejem człowieka, z którego on swobodnie korzysta pod każdą szerokością i długością geograficzną, tak dobrze w ustrojach demokratycznych, jak monarchicznych; a nawet nieobcą jest ona i tym stworzeniom, które my nazywamy niższemi zwierzętami. I one mają też swoje próżnostki, swoje słabostki, choć nie mogą naturalnie równać się z nami pod tym względem.

Arystokraci, rzemieślnicy, chłopi, wielcy ludzie i mali — wszyscy w gruncie rzeczy jesteśmy jednacy z zewnątrz i z wewnątrz. Gdyby zdjąć z nas odzienie, zniknęłaby wszelka różnica. Wszyscy lubimy pochlebstwo, odznaczenia, oznaki uszanowania, wszyscy bez wyjątku. I nie zależy nam nawet tak bardzo na źródle, z którego one pochodzą — byle nas nie ominęły. Niema tak skromnego, któreby nie mogło połechtać naszej dumy. „Patrz pan, on mi pozwolił pogłaskać się!“ — woła uszczęśliwiona dziewczynka, gdy złe psisko, które nikomu nie dawało przystąpić do siebie, na jej pieszczotę nie warknęło. I nie zapomni ona o tem wyróżnieniu do końca życia, choćby miała osiągnąć najwyższe zaszczyty.

Kiedy kontroler biletów na kolei żelaznej pominie mnie przy ogólnej rewizyi, czuję się wówczas jak osoba klasy A, której osoba jeszcze wyższej klasy położyła rękę na ramieniu wobec wielu patrzących— jak dziecko, któremu zły pies pozwolił się pogłaskać, jak ta księżniczka, której nie pokąsała osa. I takiego właśnie uczucia doznałem cztery lata temu w Wiedniu (i nie zapomniałem jeszcze), kiedy policya zagrodziła mi wraz z piędziesięciu innymi wejście na ulicę, którą przejeżdżała jakaś znakomitość, a dowodzący kapitan, obróciwszy się i spostrzegając mnie, zawołał z oburzeniem:

— Cóż to nie widzicie, że to pan Mark Twain? Puścić go zaraz!

To się stało cztery lata temu, a ze czterysta jeszcze będę pamiętać to uczucie zadowolenia, jakie mnie wtedy napełniło; jak rozszerzyła się pierś moja aż do ostatniej granicy guzików na widok wyrazu poszanowania, rozlewającego się na twarzach otaczających mię ludzi i zakłopotania mówiącego wyraźnie: „A któż, u Pana Boga, jest Mark Twain?“

Ileż to razy słyszymy w życiu taką przechwałkę; „Stałem tak blizko niego, że mogłem go dotknąć ręką.“ W niej mieści się

Kongres wenezuelski nie przyjął dymisyi Castra. Po nowem orędziu prezydent pozostał nadal u władzy. Łotr Matos, który podczas blokady porozumiewał się z Niemcami, teraz grozi dalszym buntem. W rzeczypospolitej S. Domingo spokój, ale za to powstanie w Nicaragua, a w Honduras jeszcze nie stłumione.

Na Filipinach ruch zbrojny narodowy nie ustaje. Wyznawcy „praw człowieka“ mają nań ogień karabinowy.

Kanclerz Bülow d. 29 z. m. odwiedził w Neapolu włoskiego ministra spraw zagranicznych, Prinettiego.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z Cesarstwa.

Sprawa wychodźstwa do Syberyi w Najpoddańszym raporcie p. ministra skarbu. — Sezonowa emigracya robotników rolnych na południe Rosyi. — Niemoralne warunki służby niższych agentów kolei żelaznych. — Portret Pirogowa.

Powszechnie wiadomo, jak doniosłe znaczenie ekonomicznie posiada dla ludności włościańskiej w Cesarstwie emigracya do Syberyi. Przez dłuższy czas powolna kolonizacya Syberyi nie znajdowała uznania u rządu, który nawet stawiał wychodźstwu różne w tym względzie ograniczenia i przeszkody. Ruch ten jednak posiadał charakter tak żywiołowy, że niepodobna było zwalczać go za pomocą środków represyjnych. „Pomimo wszelkich trudności stawianych ruchowi emigracyjnemu, pisze minister skarbu w Najpoddańszym raporcie o podróży na Wschód, wychodźca szedł do Syberyi, szedł samowolnie, na własne ryzyko, nie mając ani pozwolenia od władz gubernialnych, ani uwalniających świadectw od gminy.“ Żywiołowość ruchu zmuszała rząd nieraz do pogodzenia się z dokonanym faktem emigracyi i do przyznania samowolnym wychodźcom — wyjątkowych praw do otrzymania „nadziału“ ze skarbowych gruntów w Syberyi. Sprzeczność prawa z rzeczywistą potrzebą ludności usunięto w ten sposób, że emigracya do Syberyi przestaje być uważaną za czyn z prawem niezgodny. Owszem, jak o tem świadczy wyżej cytowany raport ministra skarbu, rząd obecnie jest tego zdania, że głównym powodem jest małorolność włościan w Cesarstwie, przeciw której właśnie w wychodźstwie należy upatrywać jeden z najbardziej skutecznych środków zaradczych. Minister przytacza kilka cyfr, świadczących, że w danym razie mamy do czynienia ze zjawiskiem wielkiej donisłości. Przed r. 1880 liczba wychodźców do Syberyi nie przenosiła rocznie 2,000 osób; w początku ostatniego dziesięciolecia zeszłego wieku liczba ta wynosiła już 50,000 osób, a od 1896 r. (tj. już po wspomnianej zmianie poglądów rządu na emigracyą), doszła do 200,000 osób rocznie. Jednakże, zdaniem p. Wittego, „obecne rozmiary ruchu emigracyjnego nie odpowiadają istotnej potrzebie uporządkowania bytu włościan w guberniach środkowych, nie wyczerpują niezmierzonych obszarów Syberyi, przydatnych do kolonizacyi rolniczej.“ Kolonizacya Syberyi przez włościan małorolnych, jak już powiedziano, jest w ręku państwa jednym z najbardziej potężnych i skutecznych środków do zażegnania nędzy wśród ludności Cesarstwa. To też państwo, zdaniem ministra winno uporządkować tę sprawę, zmienić na lepszą dotychczasową organizacyę wychodźstwa, zarządzić systematyczne badanie przestrzeni pokrytych tajgą — aby wyjaśnić, o ile są przydatne do kultury rolnej itd. Minister przewiduje, że urzeczywistnienie tych planów pociągnie za sobą wielkie dla skarbu państwowego wydatki, lecz zarazem wypowiada przekonanie, że te ofiary znajdą usprawiedliwienie „zarówno w roli cywilizacyjnej, jaką odegrają wychodźcy przez ożywienie Syberyi, jak i w zmniejszeniu przeludnienia w Rosyi europejskiej.“ Można więc wnosić z przytoczonych słów ministra skarbu, że sprawę emigracyi syberyjskiej zamierzono traktować w sferach miarodajnych znacznie szerzej, niż dotąd. Tę zapowiedź ministra prasa rosyjska przyjęła z wielkiem uznaniem, czyniąc jednak słuszną uwagę: Jeśli sprawa ma przyjąć tak olbrzymie rozmiary (minister mówi wprost o milionach małorolnych, dla których „pracy na miejscu trudno wynaleźć pożyteczne zastosowanie“), to wolno powątpiewać, czy podoła zadaniu ten sam aparat biurokratyczny, który dotąd kierował całym ruchem. W organizacyi tak ważnej sprawy ze wszelkich względów wydaje się niezbędnym bliższy udział przedstawicieli społeczeństwa miejscowego.

Jeśli emigracya włościan z Cesarstwa do Syberyi *mutatis mutandis* przypomina wędrówkę polskiego chłopa do Ameryki, to sezonowemu wychodźstwu z Królestwa do Niemiec bodaj w znaczniejszym stopniu odpowiada również sezonowa pielgrzymka włościan gubernii środkowych Cesarstwa na południe. Jak tu, tak tam, lud ciągnie na wiosnę na roboty rolne, — jak tu, tak i tam, ruch obejmuje tysiące ludzi, wreszcie jak tu, tak i tam nie posiadamy statystycznych danych, mogących dać dokładne wyobrażenie o olbrzymich bądź co bądź rozmiarach ruchu. By się przekonać, że analogia bynajmniej na tem się nie kończy, dość poznać w streszczeniu referat p. Kosalskiego, przedstawiony przed tygodniem stałej komisyi moskiewskiego Muzeum popierania pracy. Zaznaczywszy na wstępie, że dotąd robiło się niezmiernie mało dla tej masy ludu roboczego, zmudną pracą stwarzającego olbrzymią ilość najniezbędniejszych produktów, referent naszkicował te warunki, w jakich ci ludzie szukają pracy i pracują. Rozwój ulepszonej komunikacyi odbił się nieznacznie na wędrówce robotników rolnych, gdyż idą przeważnie na roboty po dawnemu — piechotą; jeśli czasami korzystają z kolei żelaznych i statków parowych, to zyskują na tem niewiele z powodu niezmiernie powolnego ruchu pociągów towarowych (w których przewożą się robotnicy) i parostatków, na których na domiar złego, znajdują bardzo niesanitarne warunki, powodujące, że często jeszcze przed znalezieniem roboty zapadają na zdrowiu. Następnie, pomimo masowego gromadzenia się szukających pracy robotników w ważniejszych punktach wynajmu — gromadzenia się nader niebezpiecznego pod względem sanitarnym — dotąd prawie zupełnie brak w tych miejscach

---

duma zadowolenia próżnego, które w słuchaczach budzi zazdrość, pożądanie takiego odznaczenia i blaskiem chwały okrywa na chwilę mówiącego. Ten, blizko którego on stał, mógł być znakomitością, czasami jest to tylko słynny opryszek, albo nawet nieznajomy, który w nagły i niezwykły sposób został życia pozbawiony — w każdym razie jest to zawsze istota pochłaniająca w danej chwili uwagę całego ogółu—uwagę narodu lub wioski.

„Ja tam byłem i widziałem na własne oczy“ to są słowa, które każdy miałby ochotę powiedzieć, czy idzie o bitwę, czy o stracenie na szubienicy, czy o wypadek na kolei żelaznej, przyjazd Jenny Lind lub odwiedziny księcia Henryka w Ameryce. Każdy, kto go widział, będzie się tem przechwalał, a kto nie widział, będzie przedrwiwał. I w tem znajdzie też dla siebie wyróżnienie, będzie mu się wydawało, że jest innym, niż wszyscy Amerykanie, a nawet lepszym od wszystkich. W miarę jak wzrastać będzie jego dobra opinia o sobie, wzmacniać się i powiększać, zacznie on obniżać, lekceważyć wyróżniające położenie tych, którzy widzieli księcia Henryka, aż popsuje im całą przyjemność. Tacy właśnie ludzie zatruli gorycza moje życie. Nie mogą oni wytrzymać, żeby nie popsuć radości innych, nie zbrukać jej, nie sponiewierać. Opowiadałem niedawno jednemu z takich o przyjęciu, jakie miałem u sułtana i widziałem, jak w czasie tego kurczyła się jego zazdrosna dusza. W końcu zadał mi pytanie: co największe zrobiło na mnie wrażenie? „Delikatność sułtana — odrzekłem. — Powiedziano mi, że odchodząc, trzeba się cofać tyłem. Trzeba tak dojść do drzwi i znaleźć klamkę. Sułtan wiedział, jak to będzie trudno nieprzyzwyczajonemu, więc udał, że czegoś szuka między papierami na stole, a ja tymczasem dobiłem do drzwi zwykłym sposobem.“

Taki obrót rzeczy nie był miłym dla mego słuchacza.

— A mówiłeś pan — odezwał się znowu — że na stole leżały jakieś niezwykłe cygara.

— Tak, nie spotkałem takich nigdy w życiu.

— To może sułtan liczył cygara — powiedział po chwili namysłu.

O, wstrętne, plugawe istoty! wszystko muszą zbrukać, czego się dotkną!

Tak, ród ludzki kocha się w wielkościach, to jest w tych, którzy stoją o szczebel wyżej ponad nami; kocha się w publicznej uwadze, którą rad kupić sobie za byle co. Udawać każdy z nas będzie, że go to nic nie obchodzi — ale to nieprawda. Wyśmiewamy się z tytułów, a kochamy je bez względu na to, czy są prawdziwe, czy sfałszowane. Pod tym względem niema różnicy między nami. Wszyscyśmy dziećmi, a dzieci ubóstwiają brzękadełka. Znam tysiące ludzi zasłużonych, ale między nimi trzech tylko, którzy odpowiedzą na list, zaadresowany prostem „Panu,“ a nie „Wielmożny.“

O, my lubimy odznaczenia! Z książąt będziemy pokpiwać sobie wyniośle, ale niech no nam się zdarzy sposobność przyczepienia czegoś do naszego nazwiska... Nikt nie ma prawa używania tytułu senatora, a jednak mamy w Ameryce aż 5,000 senatorów, którzy bardzo uprzejmie poddają się temu bezprawiu, a jednocześnie wyśmiewają się z samorodnych majorów i generałów z Południa.

W modlitwie nazywamy siebie „marnym prochem,“ lecz zawarliśmy z całym światem milczącą umowę, że nikt nas za słowo nie weźmie. *My*—marnym prochem! O, nie, my tem nie jesteśmy!

Kilka lat temu zauważyłem wyrostka stojącego przed biurem redakcyi *Heralda* i czekającego na coś. Przeszedł tęgi mężczyzna i uderzył go przyjaźnie po ramieniu. Oczy chłopaka rozbłysły radością, twarz rozpromieniała zadowoleniem. Tego wyczekiwał właśnie, i to napełniło go dumą. Mężczyzna, który go poklepał, był królem w tym zakładzie, przełożonym nad zecerami w drukarni, a jego dotknięcie znaczyło tyle dla tego chłopca, co pieszczota króla dla syna arystokraty. W treści rzeczy nie było różnicy, była tylko w zewnętrznej odzieży.

A więc ród ludzki wyznaje cześć dla pana — to jest lubi zjednywać sobie uwagę tych, którzy posiadają władzę i rozgłos. Czasem nawet zwierzęta, zrodzone do wyższych celów, zniżają się w tym względzie do poziomu człowieka. W ogrodzie zoologicznym widziałem kota, który tak się pysznił z przyjaźni swej ze słoniem, że aż mnie wstyd było za niego.

osobnych lokalów dla robotników, gdzieby mogli choć trochę odpocząć po długiej, uciążliwej podróży, a również i specyalnych biur, informujących o popycie na ręce robocze i w ten sposób przyczyniających się do bardziej równomiernego i prędszego umieszczenia wędrowców. Gdy nareszcie taki robotnik dostanie pracę, to także często w ciężkich warunkach: skutkiem coraz szerszego zastosowania produkcyi maszynowej na południu Rosyi, płaca zarobkowa spada; pracę dorosłych mężczyzn spotyka poważne współzawodnictwo w rosnącej podaży pracy kobiet i dzieci. Jednocześnie dzięki maszynom dzień roboczy przedłuża się, w niektórych wypadkach dochodząc do 18—20 godzin z 2—3 godzinną przerwą na obiad i śniadanie. Pokarm robotnika nie jest dość pożywny by mógł przywrócić tak długim dniem pracy wyczerpywaną jego energię życiową. Mieszkań dla robotników w większości majątków wcale niema, a gdzie istnieją, to są wielce niezdrowe. Wycieńczony wskutek złego pożywienia i niezmiernie długiego dnia roboczego organizm traci w znacznym stopniu odporność na szkodliwe wpływy otaczających go warunków. To też stan zdrowotny robotników rolnych przedstawia dużo do życzenia. Rozpowszechnienie maszyn rolniczych, przy braku aparatów ochronnych, powoduje wzrost ilości t. zw. nieszczęśliwych wypadków. A pomimo tego robotnik rolny prawie jest pozbawiony pomocy lekarskiej. Prawne stosunki wreszcie, w jakich się znajduje, są także niezadawalające, a mianowicie, życzyćby należało unormowania stosunków prawnych najmu na zasadzie większego zrównania praw stron obu. Powyższy materyał faktyczny określa mniej więcej bliższe zadania polityki, jaką przejąć się powinno państwo i społeczeństwo w sprawie emigracyi sezonowej. Zdaniem referenta właściwe byłyby następujące środki: 1) przedewszystkiem, potrzeba się zająć szczegółowem zbadaniem położenia robotników rolnych; to zadanie należy polecić ziemskim biurom statystycznym, zaszczytnie zasłużonym na polu badań statystyczno - ekonomicznych; 2) wielce jest też pożądanem, by sprawa pomocy lekarskiej, o ile dotyczy robotników rolnych, była oddana w ręce ziemstwa; 3) niezbędnym jest otworzenie w miejscach skupienia się wielkich ilości robotników stacyj lekarsko-żywnościowych na wzór istniejących już w guberniach Chersońskiej, Jekaterynosławskiej, Samarskiej i Symbirskiej; 4) niemniej potrzebnem jest zorganizowanie tamże specyalnych informacyjnych biur pracy; 5) koniecznie należy rozwinąć kwestyę organizacyi osobnej inspekcyi rolniczej na wzór istniejącej fabrycznej; wreszcie 6) wymagać gruntownej reformy prawodawstwa, regulującego stosunki najmitów do gospodarzy.

Niewątpliwie, jakakolwiekbądź inspekcya przydałaby się się też dla ochrony i obrony najelementarniejszych praw niższych agentów robotników na kolejach żelaznych. W prasie peryodycznej bardzo często można spotkać wzmianki o takich warunkach służby przy kolei, którym największa wyrozumiałość nie odważy się dać miana warunków ludzkich. Oto np. na pewnej stacyi linii Charkowsko-Mikołajewskiej stróż, zajmujący w suterenach tak zwane „mieszkanie,“ składające się z jednego pokoju o jednem okienku, obowiązuje się dawać schronienie w tych apartamentach zwrotniczym codzień — od pociągu do pociągu. Zwrotniczowie bowiem mieszkania na stacyi nie mają i muszą na noc odchodzić do wsi sąsiedniej. Ta sama kolej posiada telegrafistę, który odbywa dyżur na jednej stacyi a mieszkanie ma na sąsiedniej. Musi więc jeździć do domu pociągiem, a częstokroć, jeśli niema pociągu — wracać do mieszkania *per pedes*. Ta sama kolej (i czy tylko ona?) zna dyżury pomocników zawiadowcy stacyi, trwające przez 24 godziny, itd.! Zależność niższych agentów od zwierzchności kolejowej, od jej kaprysów i złego humoru jest zupełna; ta właśnie zależność umożliwia wydawanie okólników, w których taki sobie satrapa kolejowy żąda od podwładnych mu, by przy jego wejściu do biura wstawali i witali go ukłonami. Aby uniknąć skrępowania wobec podwładnych, zwierzchność na kolejach praktykuje różne sposoby. Oto np. robotnicy remizy kolejowej w Baku, wstępując do służby, muszą podawać prośbę, zawierającą wyrazy: „...przyczem gdybym był zbytecznym w remizie, proszę mię uwolnić od służby bez uprzedniego zawiadomienia, przeciwko czemu protestować nie będę.“ Dla większej jednakże pewności na drugiej połowie tegoż samego arkusza każą pisać jednocześnie drugą prośbę: „P. naczelnikowi remizy Baku. Nie życzę sobie pozostać nadal w służbie, proszę p. naczelnika o zwolnienie mnie z niej.“ Czyli — w tłomaczeniu na mowę potoczną — ma to znaczyć: w każdej chwili, bez żadnych korowodów robotnik może być wyrzucony ze służby i nie ma prawa nawet marzyć o jakiemś odszkodowaniu...

Na zakończenie niniejszego listu — dwa wesołe obrazki, których wspólną cechą jest pewna, że tak powiem, fantastyczność przy zupełnej ich autentyczności.

Znakomity rosyjski pedagog i uczony, Mikołaj Pirogow, podarował niegdyś uniwersytetowi kijowskiemu swój portret z własnoręcznym podpisem. Portret ów zawieszono w sali posiedzeń zarządu uniwersyteckiego. Przed paru tygodniami *Kijewskaja Gazeta* podała do wiadomości publicznej, że pewien kolekcyoner kupił u antykwaryusza ten portret, który został sprzedany w drodze licytacyi z innemi niepotrzebnemi rupieciami. Wiadomość ta wywołała zdziwienie.

Oczekiwano tłomaczenia ze strony zarządu uniwersyteckiego. Jakoż ukazał się w *Kijewlaninie* list rektora. Rektor zaczyna od zarzucenia lekkomyślności wykształconym a nawet „uczonym“ osobom, co wszczęły alarm, i dodaje kilka wyrazów o szacunku, jaki zwierzchność uniwersytecka czuje dla pamięci Pirogowa. Według rektora (cytujemy dalej za *Rusk. Wied.*) „portret, który wisiał w dawnej sali posiedzeń zarządu, znikł niedawno i podział się nie wiadomo gdzie, obecny zarząd nie miał wyobrażenia o jego istnieniu; w rejestrze sprzedanych z licytacyi ruchomości portretu niema, dostał się on przeto wskutek karygodnej niedbałości (czyjejś lecz nie zarządu) do lokalu, gdzie były złożone rupiecie, i został stamtąd skradziony. Zarząd próbował nabyć portret u teraźniejszego właściciela, lecz ten naznaczył z początku cenę 300 rb., a potem wręcz odmówił sprzedaży; co zaś do obrazów, to nie były obrazy religijne („ikony“) z kaplicy, lecz jakieś malowidła.“ Obiega pogłoska, że obecny właściciel portretu zamierza ofiarować go do muzeum miejskiego...“

A. Z—a.

POMOC SPOŁECZNA
W GOSPODARSTWIE KOBIECEM.

Wiadomo każdemu, jak wielkie znaczenie dla dobrobytu każdej rodziny niezamożnej ma czynność gospodarska kobiety. Można zjawisko to uważać za złe albo za dobre, za święte albo za przeklęte, za skazane na rychły zanik wraz z rozwojem stosunków społecznych, albo też za przeznaczone do wiecznego istnienia w celu podtrzymywania ogniska domowego; ale zwolennicy obydwóch tych poglądów muszą przyznać, że dzisiaj, przy istniejących stosunkach ekonomicznych i urządzeniach społecznych wogóle, rodzina robotnika drobnego, albo nawet średniego urzędnika (ba! i niejednego literata!) poprostu nie mogłaby istnieć, nie mogłaby powiązać końca z końcem w skromnym budżecie, gdyby nie kobieta, gospodyni. Szczególniej dla rodzin robotniczych, gdzie żona i matka osobiście zajmuje się całem gospodarstwem domowem oraz dozorem i wychowaniem małych dzieci, czynność jej jest wprost warunkiem istnienia. Chwilowa choćby przerwa w tej czynności sprowadza zamieszania nadzwyczaj dotkliwe i niebezpieczne dla przyszłego bytu materyalnego, a nawet i moralnego, rodziny. Kobiety, pełniące te czynności, przeważnie zdają sobie doskonale sprawę z ich ważności i nie opuszczają swego posterunku ani na chwilę. Postrachem jest też dla nich myśl o chorobie: leżeć bezczynnie w domu, albo iść do szpitala! A co się z domem, z całą gromadką stanie? Ma to często bardzo smutne następstwa. Kobieta, pomimo ciężkiej już choroby, zrywa się jeszcze, pracuje; jeśli czuje, że trzebaby iść do szpitala, to zwleka z tem do ostatniej chwili; aż w końcu nieraz się zdarza, że bywa za późno, że choroba, która wcześniej rozpoznana i zwalczona, dałaby się była wyleczyć, pociąga za sobą śmierć, a w najlepszym razie — znacznie dłuższą niezdolność do pracy.

Znaleźli się ludzie — kobiety — co zapragnęły temu zaradzić. Gdzie? Oczywiście w Niemczech. Już w roku 1892 powstało w tym celu stowarzyszenie we Frankfurcie nad Menem, w r. 1897 — w Berlinie. To ostatnie właśnie niedawno ogłosiło swe sprawozdanie, z którego widać nadzwyczaj pomyślne rezultaty działalności. Nazywają się te stowarzyszenia: „Hauspflege“ — Gospodarstwo domowe. Cel ich zaś i środki działania są następujące:

Idzie o to, żeby kobiecie niezamożnej dać możność chorować, czyli raczej — leczyć się spokojnie, kiedy jest chora — bez troski o to, że w domu wszystko się rozstroi. Osiągnąć to można tylko — dając jej zastępczynię. Zastępczyni taka musi być przedewszystkiem godna zaufania, następnie — umiejętna co najmniej w tym samym stopniu, co gospodyni sama; wreszcie musi umieć wzbudzać zaufanie i postępować tak, aby zanadto nie odczuwano tego, że w domu na stanowisku kierowniczem jest osoba obca. To wszystko osiągnąć można tylko wtedy, jeśli zastępczyni należy do tej samej sfery, co gospodyni.

Stowarzyszenia „Hauspflege“ zawiązują się więc z tym wyraźnie określonym celem, aby rodzinom, które do nich przystępują w charakterze członków, na wypadek choroby gospodyni domu dostarczać zastępczyń; o ile jednak fundusze na to pozwalają, stowarzyszenie, założone i prowadzone przez kobiety dobrej woli, spieszy ze swoją pomocą i rodzinom niezamożnym, nienależącym do stowarzyszenia. Zwrot kosztów zastępstwa w całości lub w części jest wówczas rzeczą dobrej woli rodziny, która z niego korzystała.

Z początku zdawało się, że będzie wielka trudność z wyszukaniem odpowiednich zastępczyń, tembardziej, że wynagrodzenie za tę czynność nie może być wielkie. Tymczasem praktyka wykazała zupełną bezzasadność tych obaw. Dużo jest kobiet samotnych, a przynajmniej nieprowadzących gospodarstwa własnego, kobiet, które nie mogą ze względu na swój wiek lub też stan zdrowia pracować ciężko i fachowo, a które do takiej pracy gospodarskiej nadają się wybornie i rade są choćby z tego niewielkiego zarobku. Oczywiście, bardzo ważną rzeczą jest ich odpowiedni dobór. Zadanie to powierzone jest prezydentkom cyrkułowym towarzystwa, które mają do pomocy komisye cyrkułowe, złożone z pań dobrej woli.

Przyjrzyjmy się teraz rozwojowi towa-

rzystwa w Berlinie, rzeczywiście zdumiewająco szybkiemu. Oto, zakładając się, towarzystwo objęło swą działalnością tylko 125 cyrkułów miasta; już w trzy lata potem rozciągnęło swe czynności na wszystkie 357 cyrkułów stolicy z przedmieściami. W r. 1898 korzystało z zastępstwa 915 rodzin przez dni ogółem 7,942; w r. 1902 — już 3,798 rodzin przez 27 206 dni. Koszta zastępstwa wynosiły w pierwszym roku 8,457 marek, w ostatnim — 27,119 marek; więc mniej więcej jedną markę dziennie— co się oczywiście tem tłomaczyć musi, że zastępczyni dostaje jeść w domu, do którego jest wezwana. Ten wydatek, wynoszący niecałe 8 marek rocznie na rodzinę, nie mógł jednak być pokryty ani ze składek członków, ani z dobrowolnych opłat rodzin, dorywczo korzystających z pomocy towarzystwa. Luki w budżecie zapełniły ofiary jednorazowe większe przyjaciół tego przedsiewzięcia; urządzono też w tym celu płatne zwiedzanie prywatnych zbiorów artystycznych za chętnem podobno pozwoleniem właścicieli i pod kierownictwem uproszonych artystów. Miasto Berlin daje towarzystwu subwencyę w kwocie 4,500 m.; zakład krajowy ubezpieczeń — 1,500 m., ministeryum poczt — 300 m.

Chcąc spełniać swoje zadanie, towarzystwo musiało je ściśle określić i ograniczyć. Nie może się ono zajmować i nie zajmuje się też innemi sprawami, jak np. dozorowaniem chorych, leczeniem, pomocą materyalną podczas choroby. To wszystko musi być pozostawione specyalnym stowarzyszeniom i instytucyom. Nie znaczy to jednak, aby stowarzyszenie miało się odgraniczać murem chińskim od innych, pokrewnych, mających również na celu podniesienie bytu klas pracujących. Przeciwnie, weszło ono w stałe stosunki z całym szeregiem stowarzyszeń berlińskich, jako to: ewangelickiem towarzystwem dobroczynności, hygieny domowej, pomocy dla położnic, opieki nad dziećmi, sanatoryów ludowych, Czerwonego Krzyża, kuchni ludowych, zapobiegania pauperyzmowi itd. itd. Wszystkie te towarzystwa mają wspólne biuro wywiadowcze, a oprócz tego zwracają sobie nawzajem uwagę na ludzi i rodziny, potrzebujące pomocy pod tym, czy innym względem.

Ważnym etapem w rozwoju towarzystwa było zawarcie umów między niem a całym szeregiem znacznych przedsiebiorstw przemysłowych. Początek dały w r. 1899 Ogólna Kompania Elektryczności i Berlińskie Warsztaty Elektryczne, za nimi poszły firmy Siemensa i Halskego, Lowego i Sp. itd., dziś liczba ich wynosi już 26. Umowa polega na tem, że stowarzyszenie „Hauspflege“ obowiązuje się dostarczać zastępstwa rodzinom wszystkich robotników, zatrudnionych w danem przedsiebiorstwie, na wypadek choroby gospodyni domu, a przedsiebiorstwo zwraca mu tę część kosztów, która nie daje się ściągnąć od samych robotników, korzystających z tej usługi. Niektóre firmy oznaczają w umowie *maximum* sumy zwracanej, co prawda, dość nizkie: 300, nawet 150 m. Robotnicy bardzo są zadowoleni, jak zapewnia sprawozdanie, z usług towarzystwa i rozszerzają wiadomości o niem między kolegami. Towarzystwo unika rutyny biurokratycznej, umie się przystosować do wymagań, dostarcza zastępczyń i na parę godzin choćby, dla rekonwalescentek, i w dnie prania np., i tak dalej. Pomoc jego ma czasem niespodziewanie ważne następstwa: tak np. w kilkunastu wypadkach uratowała rodziny, dotknięte chorobą gospodyni, od utraty stołownika albo sublokatora w pokojach umeblowanych. Wogóle jest to idea bardzo elastyczna, którą możnaby do różnych warunków przystosować. Sejm sasko-wejmarski tak się przejął jej ważnością, że uchwalił 150,000 marek na stworzenie takiej instytucyi w księstwie. *R.*

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Ruja i porubstwo.

Na ten temat wre literacko-dziennikarska walka w Warszawie. Sienkiewicz *locutus, causa finita.* Zapytano: czy wystawiać dzieła sceniczne, osnute na niewierności małżeńskiej i tym podobnych tragedyach? Sienkiewicz *locutus:* to ruja i porubstwo. Zawrzało w obozie młodych. Precz z Sienkiewiczem! Powstało tedy istne odszczepieństwo w kulcie naszego bożka beletrystycznego. A dola odszczepieńców? Dziennikarski kat i dziennikarski stos. Święta inkwizycya moralności warszawskiej wkroczyła natychmiast w swe prawa i wszczęła proces. Nie mieszamy się bynajmniej do tego zatargu, gdyż zdaje nam się, że na Sienkiewiczu literatura się ani nie zaczyna, ani nie kończy, że na zdaniu jego prawda także się nie zaczyna i nie kończy, że literatura przyszłości na młodym obozie również się nie zaczyna i nie kończy, że ich bojowe okrzyki niezawsze są tak groźne, jak się to pozornie zdaje, że przedewszystkiem niezawsze są oni ludźmi przyszłości, że wreszcie to żyć będzie „co żyć ma siłę.“ Natomiast zapytalibyśmy się naszych moralistów o ruję i porubstwo w życiu. Bo właśnie skończył się doroczny karnawał i pora do rozmyślań właściwa. Czy przypatrzyliście się rui i porubstwu na ulicach? w suterenach? na czwartych piętrach? w ubocznych dzielnicach? na przedmieściach? Nie zapytamy się was o ruję i porubstwo na pierwszych piętrach, nie, tam przynajmniej płacą hojnie za swoje żądze. Ale zapytamy was o ruję i porubstwo, którą tworzy nędza, ta niemiłosierna, okrutna, bezlitosna nędza, porywająca za gardło najoporniejszą dziewczynę, dusząca najszlachetniejsze instynkty, spychające do moralnego bagna najuczciwszą mężatkę, matkę licznych nieraz dzieci. A skąd się bierze ta nędza? Bodaj że krzykniecie: cóż za niemoralne pytanie! Więc cóż to jest niemoralność? Pytacie o rzeczy drażliwe. Ty maszynisto, ty rzemieślniku, ty szwaczko, ty urzędniczyno, wy wszyscy pracujecie tanio, bardzo tanio, tanio i dobrze, tego wymaga nasz honor kulturalny. Żeńcie się, płódźcie liczne dzieci, tego wymaga przyszłość społeczeństwa. Posyłajcie waszą liczną dziatwę do szkół, niższych i wyższych, tego wymaga honor oświaty. A skąd oni na to wezmą? Cóż za niemoralne pytanie! Ha, dobrze, nie pytajmy! Już mamy taniego a dobrego pracownika i pracownicę. Honor kultury ocalony. Już ci pracownicy i te pracownice zawierają związki małżeńskie, płodzą liczne dzieci; przyszłość społeczeństwa ocalona. Posyłają dziatwę do szkół, niższych i wyższych; honor oświaty uratowany. Nagle z niewiadomych źródeł płynie do literatury ruja i porubstwo. Gwałtu! Zatkać rurę! Wyziewy w nieskanalizowanem mieście? Rozlać kilkanaście beczek perfum! Niech nas literatura perfumuje, nie będzie nas czuć... Nie, ruja i porubstwo nie wypełniają życia człowieczego, nie — bo zaiste życia tych upadłych kroci człowieczem nazwać niepodobna! U góry panowie spierają się o to, czy wolno się zabawiać rozmówkami o niemoralności, czy niewolno; a w dole istnieje przerażające zagadnienie: *nędza czy porubstwo?* U góry moralizatorska ideologia, zamykanie oczu i piękny frazes na podejrzanym systemie — w dole zaś brutalna, nieubłagana, bezlitosna walka o kromkę chleba dla zgłodniałego żołądka i o jakie takie okrycie dla zbiedniałego ciała, walka bezwzględna, wymagająca odrzucenia wszelkich ideałów, wszelkich cnót, wszelkich skrupułów, ohydne bagno, zabijające duszę na cały szereg pokoleń. Ale uspokójcie się a raczej zaniepokójcie się, szlachetni moralizatorzy, bo właśnie w tem piekle życia, w tem bagnie, w tej tak zwanej zgniliźnie moralnej wyrastają coraz liczniej charaktery, które kiedyś przystąpią do dyskusyi z wami na temat rui i porubstwa we wszelkich formach i odmianach. Gotujcie się na niezmiernie interesującą dyskusyę!

O powodzi.

Klęska, o której pisaliśmy już w *Prawdzie*, dotknęła głównie gminy: Wójcza, Pacanów i Łubnice w pow. Stopnickim. Woda, przerwawszy wał ochronny, zalała 16,000 morgów gruntu; z tych na zagrody chłopskie przypada około 6,000 morgów. Na tym obszarze ludność siedzi bardzo gęsto, a woda wzniosła się do wysokości 12—80 cali, wtargnęła w głąb domostw, budynków, zatapiając i niszcząc wszelkie zapasy. Niesienie pomocy wskutek tego było niesłychanie utrudnione, nawet po ustąpieniu wody, gdyż drogi w wielu miejscowościach zamieniły się w grząskie, prawie bezdenne kałuże nie do przebycia. Straty w zbożu, ziemniakach i nasionach na gruntach chłopskich wynoszą najmniej 50,000 rubli, nie licząc szkód, poniesionych w zabudowaniach. Dotknięci klęską mają podobno otrzymać pożyczkę rządową, 10,000 rb. na dogodnych warunkach; lecz to jest tylko drobna pomoc wobec ogromu ich nieszczęścia. W takich razach tylko zbiorowe usiłowania całego społeczeństwa istotną ulgę niedoli przynieść mogą. Obywatele stopniccy, pełniąc zacnie obowiązek swój od pierwszej chwili, zajęli się wyjednaniem pozwolenia władz na zbieranie składek po całym kraju. Utworzył się komitet niesienia pomocy powodzianom, w Stopnicy, który przyjmuje już ofiary, na ten cel przeznaczone. I ufajmy, że napłynie ich dosyć, aby osuszyć łzy nędzy, wrócić dobrobyt z wszystkiego wyzutym biedakom. Co jednak będzie dalej? Wały ochronne, te budowle tak niezmiernie kosztowne, których naprawa rok rocznie tyle pieniędzy pochłania, okazują się w gruncie rzeczy niepewnem zabezpieczeniem. Czyż więc nareszcie nikt się nie zajmie obroną wiecznie zagrożonych przez zasadnicze postawienie kwestyi walki ze strasznym żywiołem?

Godne zakończenie.

Drugie z rzędu walne zgromadzenie „Kasy Kobiet,“ dało pod każdym względem wynik ujemny. Wykazało bowiem zupełny brak wyrobienia społecznego wśród większości uczestniczek Kasy, i prawdopobnie długo nam przyjdzie czekać na poprawę stosunków pod tym względem. Niema się zresztą czemu i dziwić, bo skądże te biedne, o ciężki byt walczące pracownice mają wziąć niezbędny zasób doświadczenia, potrzebny do kierowania tak użyteczną dla nich instytucyą? Jeszcze delegacya kobiet niejedno posiedzenie będzie musiała poświęcić na kształcenie uczestniczek Kasy, zanim usiłowania te należyty plon przyniosą. Tymczasem lichy spryt i samowola będą się panoszyć wśród sprzyjających sobie warunków, dopóki uspołecznienie naszych pracujących kobiet nie położy końca arbitralności jednostek.

Przeparto i pogwałcono rozumniejszą i lepszą mniejszość, wybrano ponownie ten sam zarząd, a co gorsza powzięto brzydką i wprost niemoralną uchwałę, pozwalająca na wprowadzenie filantropii do instytucyi, która jedynie i wyłącznie na samopomocy oprzeć się powinna. Jest to daleko większa krzywda, niż wybranie niewła-

ściwego komitetu zarządzającego, ponieważ zasady, na jakich się dana instytucya opiera, przeżywają zazwyczaj swych twórców. Gdy ustąpią ci, co obecnie dla dogodzenia swym ambicyom taką uchwałę powzięli, fałszywa i niespołeczna zasada żyć będzie i psuć najlepsze wysiłki następców. Nam nie filantropii i nie lokajstwa potrzeba, ale wyrobienia społecznego, ale oparcia się o własne siły; do tego w przyszłości nasze ciężko pracujące kobiety dążyć powinny.

W sprawie kelnerów.

Goniec Łódzki porusza kwestyę kelnerów, których wyzysk dochodzi rzeczywiście do rozmiarów wprost potwornych. Sprawa była również omawianą dawniej i w Warszawie; wtedy p. Kwaśniewski zestawił cyfrowo możliwe zarobki kelnerów i faktyczne haracze, składane przez nich właścicielom w formie kaucyi, dochodzącej nieraz do kilku tysięcy rubli, kar, stałych opłat za „ewentualne“ stłuczenie naczyń itd. Dodać należy, iż w jadłodajni urządzonej „modern,“ jedynym dochodem kelnera są napiwki i dowcipnie układane rachunki dla gości, jedynem znów źródłem dochodu „ober-kelnera“ — bezlitosne obdzieranie kelnerów. Po za tem kelner oddany jest na łaskę i niełaskę losu. Siłą okoliczności zmuszony do odgrywania roli ptaka niebieskiego, niepewnego jutra, narażonego na ciągłe szykany, obcowanie z szumowinami inteligencyi, odgrywanie wobec nich roli błazna przeważnie, zatruwa się on tą atmosferą, zatraca poczucie energicznej walki z losem, i wysadzony z miejsca znajduje się w położeniu bez wyjścia. A o stratę miejsca nadzwyczaj łatwo: obecnie np. na bruku warszawskim znalazło się bardzo wielu kelnerów wskutek sprowadzenia obcych sił „dla szyku.“ Tenże sam fakt miał miejsce w Łodzi, gdzie skutkiem sprowadzenia nowych kelnerów z Warszawy i z zagranicy, właściciele restauracyj wymówili nagle zajęcie kilkudziesięciu miejscowym.

Dla częściowego chociaż zaradzenia złemu *Goniec* wzywa ogół kelnerów łódzkich do popierania usiłowań jednostek, krzątających się koło założenia Towarzystwa wzajemnej pomocy kelnerów, którego ustawa ma być wzorowana na ustawie istniejącego stowarzyszenia tegoż rodzaju w Rydze.

Czy nie możnaby i w Warszawie pomyśleć o czemś podobnem? Los kelnerów tutejszych jest też niepewny i nie lepszy, a istniejąca kasa, gdzie znajdziemy ledwie mikroskopijną cząstkę ogółu kelnerów, nie odpowiada widać potrzebom i warunkom szerokiej masy.

Pomoc lekarska dla robotników fabrycznych.

Pisma donoszą o opracowaniu przez ministeryum skarbu nowego projektu przepisów, normujących pomoc lekarską w zakładach przemysłowych i podległych nadzorowi inspekcyi fabrycznej. Na mocy tych przepisów robotnik pozbawiony możności pracowania wskutek choroby, będzie miał prawo do trzymiesięcznej, a w razach wyjątkowych 6-miesięcznej kuracyi w szpitalu. Czas trwania kuracyi ma być niezależny od trwania lub upływu kontraktu najmu. Wszelkie koszta kuracyi spadają całkowicie na fabrykanta, który ma do wyboru, albo utrzymywanie własnych szpitali fabrycznych lub też zawarcie odpowiedniej umowy ze szpitalami utrzymywanymi przez miasta, ziemstwa. Tow. Czerwonego krzyża i innemi. Właściciel zakładu przemysłowego, zatrudniający mniej niż 200 robotników, w szczególnych wypadkach może starać się o zwolnienie go z obowiązku dawania kuracyi szpitalnej, a zatrudniający mniej niż 100 robotników, o zwolnienie go od wszelkich obowiązków udzielania pomocy lekarskiej. Wykroczenia przeciwko nowym przepisom pociągają za sobą karę pieniężną do 500 rb. Nadzór nad wypełnianiem przepisów powierzony zostaje inspekcyi fabrycznej.

Przepisom podlegają i zakłady górnicze.

Przyłapany patryota.

W *Gazecie Polskiej* czytamy: „Nadesłano nam list, pisany z Warszawy przez polską firmę „Rohn, Zieliński i Sp.“ (fabryka wyrobów metalowych) do polskiej również firmy inżenierów Krzyżanowskiego i Cywińskiego, prowadzących biuro techniczne w Mińsku. List pisany jest — po niemiecku. Czy można się dziwić, że w Mińsku ludzie nie umieją sobie wytłomaczyć, co to właściwie znaczy? „Mit dem beiliegenden Hefte beehren wir uns Ihnen unseren neuen Katalog... zu ueberreichen“, — piszą panowie z Warszawy na początku listu. I rzeczywiście, posłali katalog; ale ten nowy katalog — także wydrukowany jest po niemiecku. Dlaczego, kiedy jednocześnie taż sama firma otrzymała od innych fabryk z Warszawy nowe katalogi po polsku?“

Tyle *Gazeta Polska*.

My zaś współwłaściciela tej firmy, p. Franciszka Zielińskiego, którego syn Ludwik jest szefem wydziału handlowego tejże firmy i który wystąpił w swoim czasie przeciwko nam z pretensyą patryotyczną, odsyłamy do powyższej cytaty *Gazety Polskiej*.

Nowe apteki.

Na jednem z ostatnich posiedzeń wydziału hygieny zawodowej w Tow. hygienicznem p. Dutkiewicz poruszył sprawę pracy aptekarskiej, wykazując niehygieniczne, a nawet wprost niehumanitarne warunki, w jakich ona u nas się odbywa. Od ucznia do pomocnika i prowizora aptekarskiego każdy jest stale przeciążony pracą, czego wynikiem są trzy formy ciężkich niedomagań, chroniczny katar nosa, potem i krtani a nawet płuc, rozdęcie żył w nogach i nadzwyczajne zdenerwowanie. Pierwszą chorobę zawdzięczają zwyczajowi nieopalania aptek, zwłaszcza na prowincyi, drugą — wymaganiu spełniania obowiązków w pozycyi stojącej bez możności przysiadania bodaj na chwilę, trzecią wreszcie — gorączkowej pracy w pośpiechu i gwarze oraz dyżurom nocnym. Jeżeli dodamy do tego nieustanne oddychanie wyziewami rozmaitych niezdrowych i szkodliwych substancyj, to pojmiemy, że los adeptów zawodu aptekarskiego nie jest do pozazdroszczenia. Większość ich musi pozostawać na stanowisku zależności od pryncypałów, nieliczących się z potrzebami pracowników, nie mogąc marzyć o samodzielności, gdyż przywilej, przywiązany do zawodu aptekarskiego, ogranicza ilość aptek, których wartość wskutek tego w Warszawie dochodzi średnio do 60,000 rb. Aby położyć koniec temu smutnemu stanowi rzeczy, trzeba domagać się zniesienia przywileju aptekarskiego i zaprowadzenia zasady wolnego handlu dla zrównania tej gałęzi przemysłu z innemi. Zająć się tem powinni właściciele aptek i lekarze. Zniesienie przywileju aptekarskiego należałoby przeprowadzić na zasadzie wykupu, czyli indemnizacyi, jak to uczyniła już Szwecya z wielkiem dla sprawy powodzeniem. Tymczasem zaś trzeba zaprowadzić pewne ulgi, ustawić stołki i udzielić pozwolenia siadania wtedy, kiedy rodzaj zajęcia temu się nie sprzeciwia. Nie można istotnie pojąć, dlaczego właściciele aptek nie pozwalają siadać pracującym u siebie. Jest to niczem niewytłomaczone barbarzyństwo. Przeciążenia pracą można uniknąć, zaprowadzając zmianę personelu tak, aby połowa pracowała przed południem od godz. 9 rano do 3 po południu, druga zaś od 3-ej po południu do 11-ej wieczorem, tj. do zamknięcia apteki. Uznano też zwyczaj wyrabiania lekarstw w tem samem miejscu, gdzie ma się do czynienia z publicznością, za niepotrzebne i wysoce denerwujące; dlatego pracujący domagają się ustawienia tak zwanych lóż aptecznych w przyległym pokoju; że to jest możliwe, dowiodła jedna z aptek warszawskich, zuprowadzając to urządzenie bez szkody dla siebie a z korzyścią dla personelu. Pracownicy aptekarscy żądają tej reformy nietylko przez wzgląd na swe własne zdrowie, ale i na bezpieczeństwo obsługiwanej przez siebie publiczności. W żadnym bowiem razie pomyłka ze zdenerwowania płynąca nie może pociągać za sobą tak opłakanych następstw, jak w zawodzie aptekarskim. To samo, a może nawet w wyższym jeszcze stopniu powiedzieć można o dyżurach nocnych! Czyż człowiek po 12-godzinnej ciężkiej pracy w dzień jest w stanie pełnić swoje obowiązki w nocy? Owe dyżury nocne są niewątpliwie nadużyciem, które co prędzej usunąć trzeba. Reforma w tym kierunku będzie dowodem tylko ludzkości panów właścicieli i publiczności, która nie powinna dzwonić do aptek w godzinach między dwunastą a siódmą rano, chyba w nagłej potrzebie, tj. po lekarstwo przepisane przez doktora. Dzisiaj budzą dyżurnego dla pomady, pudru, gliceryny, wody sodowej, limoniady itd. Zwyczaj ten ustać powinien, wymaga tego kultura i wzgląd na potrzeby bliźniego.

Pod adresem inteligencyi wiejskiej.

Z Częstochowy donoszą *Gońcowi Łódzkiemu*, iż właściciel zakładu pomologicznego w tem mieście, p. Władysław Zawada, wprowadził godną poparcia nowość. Łącząc interes handlowy z myślą użyteczności publicznej, p. Z. ogłosił, iż odstępuje włościanom drzewka owocowe, przygotowane do zasadzenia, po zniżonej cenie 20—30 kop. sztuka, pod warunkiem zamawiania odrazu większej ilości drzewek (najmniej za 3 ruble). Zakład pomologiczny p. Z. załatwia wszelkie formalności dostawy do najbliższej od zamawiającego stacyi kolejowej.

Inteligencya wiejska, a przedewszystkiem duchowieństwo powinno czynnie poprzeć ten objaw dobrej woli i energicznie nakłaniać włościan do kupowania sadzonek zbiorowemi siłami.

Wpłynęłoby to z pewścią na podniesienie naszych sadów wiejskich i zarazem rozwijało stopniowo wśród włościan zamiłowanie do hodowli drzew owocowych i do ich należytego szanowania, co dziś niestety tak rzadko daje się spotykać.

Sztuka we Lwowie.

Tak, w tym Lwowie, który się otrząsnął z p. Ludwika Hellera, zaszedł fakt niebywały. Teatr pod dyrekcyą p. Pawlikowskiego nie daje zysków, przynosi straty, dyrektor jest winien gminie 150,000 koron. Co czynić dalej? Dyrektor żąda rozwiązania umowy, nie może bowiem dokładać więcej do przedsiebiorstwa. Ale teatr podniósł się, sztuka kwitnie; prawda, rozkwit ten nie jest równomierny, tu i owdzie leżą jeszcze płaty śniegów niedawnej zimy, repertuar pozostawia wiele do życzenia; a gdzie jest lepszy? Koniec końców miejska komisya artystyczna, wychodząc z założenia, że na sztuce naród nie powinien robić interesów, proponuje umorzenie długu p. Pawlikowskiego, zniżkę czynszu dzierżawnego z 20,000 koron rocznie na 2,400 koron, ogromną zniżkę opłaty za wodę i za światło. A tymczasem stary kusiciel, p. Ludwik Heller, korzystając z zamieszania, jakie wywołała we Lwowie cała sprawa, występuje z ponętnemi propozycyami: dajcie mi teatr a będę wam płacił to, czego

nie może zapłacić p. Pawlikowski; będę wam płacił nawet więcej, tylko oddajcie mi teatr! Ale komisya artystyczna nie dała się skusić lwowskiemu Mefiście. Co jednak uczyni gmina? Czy pójdzie za szlachatną radą komisyi artystycznej, czy też ulegnie pokusom Mefista? Dziwna rzecz, ale p. Heller wywiera na nas wrażenie teatralnego Koriolana; wypędzony ze scenicznej Romy, stworzył sobie obóz Wolsków, który bodaj że bardzo zaważył na szali materyalnego powodzenia teatru. Pod p. Hellerem kwitła operetka — a dramat? a komedya? O tych działach sztuki nie było nic szczególnego słychać za rządów p. Hellera. Natomiast p. Pawlikowski ma za sobą sześć lat dziejów teatru krakowskiego. Przez te lat sześć dźwignął sztukę, wytworzył nowy prąd, wyprowadził na widownię szereg młodych sił. A niestety, skoro opuścił Kraków, scena zaczęła upadać; rozpoczął krzewić sztukę we Lwowie, pracuje zaledwie kilka lat, walczyć musi z przeróżnymi Mefistami, z publicznością, z uprzedzeniami, z brakami repertuarowymi. Ma swoje błędy, ale wolimy p. Pawlikowskiego z wszystkimi jego błędami, niż p. Hellera z jego zaletami. Jeżeli gmina pójdzie za głosem komisyi artystycznej, zdobędzie się istotnie na czyn piękny. Nie powinny jej łudzić zapewnienia p. Hellera, że da repertuar wyłącznie polski, operę wyłącznie polską, bo najpierw ani nasza literatura dramatyczna, ani operowa, nie jest tak bogatą, aby mogła przez okrągły rok zapełniać widowiska, następnie zaś, gdyby nawet p. Heller zebrał odpowiednią ilość polskich sztuk, to czuwa jeszcze kastygator sceniczny w osobie p. Adama Krechowieckiego, który połowę polskich sztuk odrzuci, czy to ze względu na swą wrażliwość polityczną, czy też ze względu na swą wrażliwość obyczajową. Wprawdzie „rują i porubstwem“ p. Heller nie myśli karmić publiczności, ale będzie ją karmił wiedeńską operetką, która białych dusz naszych moralizatorów nie obraża, nie obraża ich śpiewaka: „Panie małżonku pod drzwiami stój, u twojej żonki kochanków rój“ (czy jak to tam idzie...), bo jakoś nigdy przeciw temu nie protestowali; taką śpiewkę sami nucić będą... Natomiast obrazi ich śmiertelnie sceniczne widmo ich własnych czynów, ich własnego życia... Widocznie lwowska komisya artystyczna sięgnęła okiem wyżej, nie chce ciągnąć zysków z tej śpiewki, pragnie dla Lwowa sztuki i — bodajby gmina poszła za jej radą.

BADANIA NAUKOWE.

Przemysł i sztuka.

Zajmowaliśmy się już parę razy w *Prawdzie* stosunkami sztuk pięknych i gospodarstwa społecznego [1]); co się tyczy specyalnie sztuk plastycznych, najbliżej spokrewnionych z wytwarzaniem przemysłowem, to zapoznaliśmy czytelnika z wysoce pouczającą książką Franciszka Feuerherda [2]), w której wykazany jest decydujący wpływ rozwoju stosunków gospodarczych na architekturę, malarstwo i rzeźbę w starożytności. Autor ten zapowiedział dalszy ciąg swego dzieła, poświęcony temu samemu oddziaływaniu w wiekach średnich i w czasach nowożytnych; gdy jednak ten ciąg dalszy, niestety, jakoś się opóźnia, skorzystamy z rozprawy dr. Karola Kindermanna, profesora ekonomii politycznej na uniwersytecie w Heidelbergu [1]), aby przedstawić chociaż wzajemne oddziaływanie sztuki i produkcyi ekonomicznej w dzisiejszej dobie rozwoju.

Prof. Kindermann wystąpił ze swojemi uwagami z powodu przeszłorocznej wystawy narodowej niemieckiej w Düsseldorfie, a w celu popierania tendencyi do możliwie największego artyzmu w przemyśle samym; idzie mu więc o zbadanie warunków i sposobów oddziaływania sztuki na przemysł; aby dojść do tego zagadnienia, musiał on poprzednio zbadać, jak dzisiejszy przemysł i jego następstwa społeczne oddziaływają na sztukę, przyczem uwzględnił z natury rzeczy głównie, acz nie wyłącznie, sztuki plastyczne. Uwagi jego jasne i przystępne, czasami nie pozbawione głębszego charakteru, mają ogólne znaczenie i oczywiście nie dotyczą wyłącznie stosunków niemieckich.

Otóż dzisiejsze wielkoprzemysłowe stosunki ekonomiczne wpływają na sztukę czworakim sposobem. Przedewszystkiem gospodarka daje kapitały, czyli „ciała organiczne i nieorganiczne, którym praca nadała charakter społeczny i zrobiła z nich pomocników człowieka; stają one między społeczeństwem ludzkiem a naturą, łagodząc właściwości niespołeczne i zmiany tej ostatniej.“ Dzięki kapitałom, dzięki olbrzymiej produkcyjności pracy wielkoprzemysłowej, wyższe funkcye społeczne wogóle, a w ich liczbie i sztuka mogą mieć należytą doskonałość, stałość i prawidłowość. Dzięki rozwojowi dobrobytu sztuka znajduje materyał ludzki dla swoich wpływów. Następnie, rezultaty czynności ekonomicznej zapewniają artystom samym pewien stopień dobrobytu, bez którego nie mogą wznieść się na szczyty swej twórczości. Dalej, przemysł dostarcza sztuce środków technicznych. Dawniej malarz (często nie bez pożytku dla swej sztuki) sam musiał wyrabiać sobie farby; dziś może wybierać z gotowych kolekcyj najróżnorodniejszych odcieni. Żelazo, pokombinowane ze szkłem, robi przewrót w budownictwie. Wreszcie przemysł, a zarazem handel ze swą nowożytną organizacyą, oddają sztuce wielkie usługi przez reprodukcyę i rozpowszechnianie jej dzieł. Udoskonalenia najrozmaitszych gałęzi poligrafii (sztuki reprodukcyjnej), powodując niesłychaną dotychczas taniość wytworów, udostępniają najuboższym warstwom poznawanie dzieł sztuki, wyrabiają ich smak, pozwalają uczniom szkół artystycznych i przemysłowo-artystycznych zapoznawać się z historyą i obecnym stanem sztuki. Nie byłoby to możliwe bez dzisiejszej organizacyi handlu, handlu książkowego w pierwszym rzędzie, ale i handlu, i rozwoju komunikacyi wogóle. Kupcy pierwsi sprowadzili z Japonii do Europy wzory artystyczne, które taki wpływ wywarły i wywierają na sztukę europejską.

Lecz wielki przemysł i handel oddziaływa na sztukę nietylko korzystnie, ale również i niekorzystnie. Prof. Kindermann zalicza tu przedewszystkiem żądzę zysku, która się wytwarza u samych artystów; żądza zysku, traktowanie swych dzieł, jako towaru na sprzedaż, używanie zbytku — to wszystko osłabia siłę twórczą. Gdy autor nasz mówi, że „wiele willi artystów w Monachium i w Berlinie żywo przypomina wille bogatych kupców“ — to możemy mu skwapliwie przyznać słuszność; ale jednocześnie dziwimy się bardzo, że, jako ekonomista, i to wybitny, nie zwrócił wcale uwagi na towarzyszącą nieodłącznie rozwojowi wielkiego przemysłu proletaryzacyę masy ludności, która sprawia, że wielu ludzi z wielkiemi zdolnościami artystycznemi ma doprawdy zbyt wiele zalecanego przez Kindermanna, tylko, wbrew jego radzie, nieumiarkowanego „ascetyzmu,“ i że wielu artystów ginie w zarodku. Zdumiewająca jest doprawdy ta ślepota, czy też niepamięć uczonych klasowych! Będzie mówił obszernie o ozdobach na sztachetach żelaznych, a obok takiego pierwszorzędnej wagi zjawiska przechodzi, jakby go wcale nie było!..

Szkodliwie również wpływa epoka wielko-przemysłowa pod tym względem, że ogólny prąd społeczeństwa do ciągłego udoskonalania środków technicznych porywa za sobą i artystów i czyni ich skłonnymi do pielęgnowania techniki dla techniki, do popisywania się przezwyciężaniem trudności technicznych bez wyższego, szlachetniejszego celu. Wreszcie, i reprodukcya i rozpowszechnianie dzieł sztuki przez sam swój nadmiar działają szkodliwie: odbierają im urok rzadkości.

W dawniejszych naszych artykułach wykazywaliśmy, że, pomijając elementarne zawarunkowanie samego zjawienia się, wyodrębnienia i silniejszego rozwoju potrzeb artystycznych przez pewien stopień nagromadzenia bogactw i zaspokojenia potrzeb podstawowych — gospodarstwo oddziaływa na sztukę dwiema drogami: bezpośrednio, przez technikę wytwórczą, która dostarcza sztukom narzędzi i materyałów, i pośrednio, przez oparty na systemie gospodarczym ustrój społeczny. Co do tego wpływu pośredniego, który rychło bardzo staje się ważniejszym od technicznego, to uważać trzeba także na podwójny sposób jego objawiania się: z jednej strony, sztuka ma określoną funkcyę w całym systemie funkcyj społecznych — funkcyę przyczyniania się do pożądanego biegu spraw społecznych przez odpowiednie *kształcenie instynktów* — z drugiej strony, artysta należy zawsze do pewnej klasy społecznej, przejmuje się jej dążeniami, jej pojmowaniem zadań społecznych, i odzwierciedla je w swej działalności. Zarówno Feuerherd, co stwierdziliśmy w swoim czasie, jak obecnie prof. Kindermann, który gani wyraźnie niedocenianie wpływu stosunków ekonomicznych na sztukę przez estetyków zawodowych, w podobny sposób ujmują kwestyę i odróżniają w głównych zarysach te same jej strony. Ten ostatni zdaje sobie należycie sprawę z roli sztuki w ogólnej sieci oddziaływań społecznych, i określa ją wcale trafnie, mówiąc, że państwo i religia działają za pomocą przymusu: państwo za pomocą bezpośredniego zewnętrznego, religia — za pomocą bezpośredniego wewnętrznego nacisku na jednostki zmuszają je do prawidłowego działania podług nakazów, wypływających z danego ogólnego stanu społeczeństwa; sztuka zaś i nauka osiągają ten sam cel środkami pośrednimi, miłymi, stopniowo działającymi, jedna — wysubtelnioną zabawą, druga — radami, przyczem jednostki nie spostrzegają nieodpartej siły oddziaływania społecznego i zachowują swą subjektywną niezależność [1]). Trafnie też zaznacza profesor K., że np. sam wybór tematów, dawniej — przeważnie historycznych, z życia królów i rycerzy, dziś — z codziennego życia mieszczaństwa i klas pracujących, nietylko odzwierciedla stosunki społeczno-ekonomiczne, ale z kolei właśnie wpływa na położenie, znaczenie i powagę danej klasy. Sztuka, będąc wysubtelnioną zabawą, szybciej upowszechnia wielkie idee danego okresu, niż może to zrobić nauka z całym swym ciężkim aparatem. Sztuka wyrabia i kształci w nas poczucie symetrycznych, pięknie zaokrąglonych kształtów i zmysł rytmu; wskutek tego ma ona

[1]) Czem jest materyalizm ekonomiczny? *Prawda*, 1901, nr. 37—39; Muzyka i ekonomia, 1902, nr. 1—2.

[2]) Die Entstehung der Stile aus der politischen Oekonomie, ob. *Prawda*, 1902, nr. 21—22.

[1]) Volkswirthschaft und Kunst, Jena, 1930.

[1]) Myśli te znajdują się w związku z całym systemem prof. Kindermanna, szerzej rozwiniętym w dziele p. t. „Zwang und Freiheit, ein Generalfakter im Völkerleben,“ Jena, 1901.

i na życie społeczne wpływ niejako zaokrąglający, wywołuje w ludziach dążenie do symetryi, nieprzymusowego ładu w ustroju społecznym, do stawiania każdej rzeczy na właściwem miejscu, do zapełnienia braków, rażących zmysł estetyczny.

Jednakże dzisiaj, zdaniem Kindermanna, sztuka nie pełni należycie swego zadania społecznego, wskutek złego zrozumienia jej charakteru przez artystów. Pochodzi to stąd, że całe ubiegłe stulecie, a szczególniej druga jego połowa, były widownią walki o panowanie nad umysłami między nauką i sztuką, i że zwycięzka ostatecznie nauka narzuciła sztuce swoje piętno. I to nauka szczególnego rodzaju: w samej nauce śmiałe teorye ogólne, próby syntezy, zostały zepchnięte na plan dalszy, a wszystkie wysiłki skierowały się na ścisłe badanie pojedynczych zjawisk. Ten ogólny prąd „indywidualistyczny“ odbił się w sztuce — w naturalizmie. Malarze za najwyższy cel stawiają sobie dokładne oddanie danego krajobrazu lub danej twarzy, aż wreszcie rzucają się do niespokojnego poszukiwania nowych środków technicznych. Rzeźbiarze pokazują przedewszystkiem swą wiedzę anatomiczną. Architektura zatraca poczucie całości budynku, skupiając uwagę na częściach i szczegółach. Literatura wydaje „romans doświadczalny“ i „historyę naturalną i społeczną“ Rougon-Macquartów. Sztuka, jednem słowem, chce być naukową. A ponieważ na tem polu oczywiście nauka ją przewyższa, jest od niej ściślejszą, lepiej chwyta i wykłada związek przyczynowy zjawisk, więc sztuka traci wpływ, przestaje grać ważną rolę w całokształcie życia społecznego.

W uwagach tych jest wiele słuszności, lecz to im bardzo szkodzi, że uczony heidelberski zupełnie nie zdaje sobie sprawy z podkładu klasowego walki, o której mówi. Wszakże ta nauka ścisła i analizująca była orężem w ręku wznoszącej się do góry burżuazyi przemysłowej, gdy tymczasem sztuka, przez pewien czas przynajmniej, pod formą pierwszego romantyzmu, była ucieczką wypieranego, zagrożonego feodalizmu; później, po zróżniczkowaniu się mieszczaństwa, rewolucyjna część jego, burząca się przeciw zaprowadzonemu przez nasyconą część bezdusznemu porządkowi, zrobiła sobie broń z romantyzmu i wogóle ze sztuki. Nauka w fazie zdobywczej mieszczaństwa posiadała nietylko ścisłość i analizę, lecz i śmiałe syntezy, burzące systemy dawne; gdy mieszczaństwo, z kolei zagrożone, przeszło do pozycyi obronnej, wtedy nauka jego straciła i zdolność i ochotę do tworzenia nowych teoryj ogólnych — bo nowe teorye ogólne nie mogą nie posiadać pewnych groźnych dla niego pierwiastków. I wyłączny kult techniki i „kawałka rzeczywistości“ w plastyce, i realizm w literaturze — są to też bez wątpienia pod pewnym względem objawy impotencyi twórczej zwyrodniałego mieszczaństwa; lecz z drugiej strony nie trzeba zapominać, że pierwszy jest u wielu artystów reakcyą przeciw słodkawej wyłączności tematów malarzy oficyalnych, że drugi — syntezą krytyczną, wymierzoną przeciw teraźniejszości! Utajone stanowisko klasowe Kindermannowi tego spostrzedz nie pozwala...

Zato bardzo trafne uwagi zawiera końcowa część jego rozprawy, poświęcona wpływowi sztuk plastycznych na przemysł, granicy między niemi — albo ściślej mówiąc: artyzmowi w przemyśle. Zważywszy naturę naszej pracy, materyał, danej gałęzi właściwy, typ ludzi, jaki się w niej wyrabia, charakter odbiorców itd., poznajemy, że różne gałęzie gospodarstwa społecznego w różnym stopniu są wpływom sztuki dostępne. Najmniej — rolnictwo i wogóle produkcya materyałów surowych, ponieważ czynności nie dają się tu rozwinąć jakościowo, produkty nie mają trwałości i w stosunku do rozmiarów — małą wartość. Tylko ogrodnictwo stanowi piękny wyjątek. Bliżej już sztuki stoi handel. Reklama, wystawy, opakowanie, organizacya całego interesu są już polem do zastosowania artyzmu, czyli piękna przez nas wytworzonego, a nie — jak w rolnictwie — przez naturę danego. Dość wspomnieć o afiszach, które dziś stanowią całą gałąź produkcyi artystycznej. A urządzenie okien, a całe wewnętrzne urządzenie magazynu! Dziś każdy rozsądny kupiec dba w tych rzeczach o piękno, o harmonię barw, kształtów, o miłe wrażenie dla kupującego. A moda, i inicyatywa do niej, która od kupców wychodzi! — Jednakowoż cała artystyczna działalność handlu polega tylko na odpowiedniem zestawianiu przedmiotów gotowych; dopiero przemysł i rzemiosło mogą nadawać przedmiotom trwałe właściwości artystyczne.

Tu Kindermann przechodzi do rzeczy znanych, których powtarzać nie będziemy; stwierdza tylko ogromny postęp, jaki dokonał się w ciągu ostatnich lat trzydziestu pod tym względem, że dziś każdy wytwórca przemysłowy stara się nietylko o trwałość, taniość i inne zalety wytworu, ale i o zewnętrzne piękno jego, które oczywiście w każdym towarze na czem innem polega. Uczony profesor uważa tę tendencyę za wysoce zdrową i pożyteczną pod każdym względem i wzywa każdego człowieka, jako konsumenta, nabywcę, do popierania jej w życiu codziennem, które właśnie powinno przesiąknąć pięknem. Jako patryota niemiecki, poucza on swych ziomków, że i piękno wytworów przemysłowych, nietylko ich taniość, staje się dziś i coraz bardziej stawać się będzie bronią w konkurencyi. Ale ta myśl jego ma ogólniejsze znaczenie wychowawcze i wszędzie zasługuje na poparcie.

Dr. K. Krauz.

LITERATURA I SZTUKA.

SHAW.

—♦—

Przepaści głębokie, dziwne, leżą pomiędzy poszczególnymi działami współczesnej produkcyi artystycznej w Anglii. Rzec można śmiało, iż w sztuce angielskiej najwięcej dysharmonii sprawia rozdźwięk między teoretycznem twierdzeniem, a praktycznem jego wcieleniem. A dalej: że pewne przejawy ducha twórczego gnieżdżą się na górnych, podniebnych wyżach — inne zaś walają się w nizinnych oparach, owiane przyziemną wonią kałuży...

Przyjrzyjmy się np. twórczości Dante Rosettiego, Johna Ruskina, Oskara Wildego, Swinburnea. Co za napięcie psychiczne, a przytem wdzięk, prostota i przedmiotowość, właściwa tylko sztuce zrównoważonej w środkach i celach. A z drugiej strony: weźmy do ręki powieść angielską lub dramat. Zdziwieni zapytujemy: więc to są płody tego samego ducha? Podniosłość i czystość pierwszych ustąpiła przeciętności fabrykatu na użytek tłumu, który trzeba koniecznie, za wszelką cenę, bawić, bawić — wciąż bawić. Albo: zestawmy twierdzenia teoretyków angielskich z tem, co się przejawiło w praktyce. Sądząc z tego, co np. Walter Pater w swych „Imaginary Portraits“ lub Oskar Wilde w „Intentions“ żąda od twórcy artystycznego, spodziewamy się dzieł wielkich, sięgających głęboko do odwiecznych zagadnień duszy, a znajdujemy płody najprzeciętniejsze, schlebiające czytelnikowi mało wybrednemu, dostosowane do jego instynktów i wymogów.

Obie te sprzeczności, rozdzielające twórczość artystyczną Anglii na dwa nieprzystające do siebie działy, powodują, iż literatura angielska poza swem lokalnem zastosowaniem tak mało wywiera wpływu na twórczość i kulturę artystyczną kontynentu. Podczas gdy twórczość Francyi, Niemiec, Rosyi, nasza wreszcie, promieniuje po przez całą niemal przestrzeń świata cywilizowanego — literatura angielska poza swem lokalnem znaczeniem mało znajduje przyjaznego przyjęcia u tych, którym dzieło sztuki prócz chwilowej ucieczki przed naporem życia dostarczyć ma też głębszych, stalszych wzruszeń psychicznych. Co najwyżej „sensacyjna“ powieść, lub typowa „angielska“ krotochwila obiegnie jarmaki księgarskie lub deski teatralne na skrzydłach reklamy z szybkością nadzwyczajną, by również szybko zniknąć, usunąć się bezpowrotnie w mroki...

Jakaż przyczyna tego zjawiska? Tkwi ona przeważnie w rysach charakteru narodu. Już Brandes, kreśląc historyę literatury angielskiej XIX w. wykazał niezbicie, iż panującym motywem twórczym jest tu wszechwładnie krzewiący się naturalizm. Równocześnie z romantyzmem, wykwitającym bujnie na kontynencie w zaraniu XIX wieku, w Anglii panował — naturalizm. Nad wszystkiem, co twórczość angielska od swych prapoczątków po ostatnią wyprodukowała chwilę, góruje naturalizm. „Na gruncie agielskim, piszę Brandes, naturalizm jest tak silnym, iż przenika sobą nawet supranaturalizm romantyczny Coleridgea, jak wysoce religijny teizm Wordswortha, jak ateistyczny spirytyzm Shelleya, jak rewolucyjny liberalizm Byrona i zainteresowanie historyczne Scotta. U wszystkich poetów włada on osobistą ich wiarą i poetycznym ich kierunkiem.“

Pierwiastki te, wszczepione w twórczość angielską pierwszej połowy XIX w. dochowały moc swą do dnia dzisiejszego. Tylko, że wówczas inaczej się przejawiały. Naturalizm ówczesny wyrażał się w olbrzymiem ukochaniu lądu i morza, w stosunku człowieka do natury, do świata zwierzęcego. Dziś znajdujemy to samo, tylko... pokurczone, marne. Naturalizm angielski z pierwszej połowy XIX w. przenikał duch rewolucyjny, protestujący przeciw martwocie i skostnieniu pseudo-klasycyzmu — dziś rządzi nim spekulacya kupiecka, wyrachowanie i koketerya z gustami publiczności. „Lord Quex“ Artura Pinera, lub dekoracyjno-senzacyjny dramat w x odsłonach i $x+n$ przemianach à la „Durbarry“ (autora opuszcza się, zaznaczając tylko na afiszu: „z angielskiego“), są naświetniejszym wypryskiem tego ducha.

A już w specyalnem poniżeniu znajduje się współczesny dramat angielski. Powód tego tkwi również w charakterze i sposobie życia Anglika. Dla niego bowiem teatr jest czemś zupełnie innem, niż dla mieszkańca kontynentu. Anglik bierze dosłownie spencerowską maksymę, że zabawa jest i być powinna uzupełniem pracy i to uzupełnieniem wyzyskanem utylitarnie. Stąd to wszelka zabawa przybiera w Anglii zwykle charakter sportu, służy ku celom zdrowotnym, lub pedagogiczno-umoralniającym. Z tej maksymy nie wyłącza też Anglik sztuki, pociągając ją również pod pojęcie zabawy, uzupełniającej pracę, życie codzienne, walkę o byt. Takie pojmowanie sztuki niweczy wszelką jej dążność do wewnętrznego rozwoju pierwiastków psychicznych, przejawiających się niezależnie od biegu i przypadłości życia. To, co modernizm ochrzcił mianem „sztuki dla sztuki,“ a co właściwie jest uniezależnieniem twórczości artystycznej od otaczającego ją życia codziennego, powszedniego — wykluczonem jest na gruncie angielskim. Tam

sztuka musi pozostawać w zależności od życia, bo je musi — uzupełniać. Teatr w Anglii działa tylko utylitarnie, jako okrasa po pracy dnia. Innego znaczenia mieć nie może. Musi więc przed spracowanym i znużonym umysłem rozwijać szereg obrazów, któreby w duszy widza wyrównały i wygładziły wszystkie przykrości. Stąd pochodzi, że scena angielska ma przeważnie charakter widowiska, biesiady zmysłów, uczty wzrokowej; nie tyka zaś wcale ukrytych i uśpionych w głębiach duszy popędów. I znowu wracamy do „Miss Durbarry“ ze swą bajeczną, krocie pochłaniającą wystawą, lub do krotochwili, nieżądającej od nikogo myślenia, a ofiarującej w zamian za to zapomnienie więzów życia.

Uznałem za stosowne naszkicować, niewesołe to tło aby się tem jaśniej mogła wychylić z niego sylweta człowieka, któremu ten zarys poświęcam — dramaturga angielskiego Barnarda Shaw. *)

* * *

W roku 1876 przybył do Londynu młodzian dwudziestoletni z zamiarem jak najszybszego przekształcenia się ze skromnego studenta w... geniusz. Nie uśmiechaj się, czytelniku tak złośliwie. Wszakże my wszyscy w dwudziestej wiośnie życia mieliśmy ten sam zamiar, ba nawet wierzyliśmy! Nasz młodzian miał wszelkie prawo do takiej wiary. W tece jego spoczywało aż... pięć nowel, a po głowie przeciągały jak w barwnym kalejdoskopie pomysły, projekty, szkielety gmachów niebotycznych, fundamenty dzieł epokowych!

Młodzieniec ten nazwiskiem Bernard Shaw zwrócił się oczywiście do największej księgarni nakładowej Londynu z prośbą o wydanie nowel. Jakiego doznał przyjęcia, domyślacie się... Zwracał się tedy do tego i owego nakładcy, zbiegł cały Londyn, zużył pół tuzina trzewików — ale nowel nie wydał. Jakiś tam „poetyzujący młodzik“ nie mógł przecież nikogo interesować.

Postanowił tedy zostać — dziennikarzem. Wprawdzie nie tędy wiedzie droga do nieśmiertelności, ale w każdym razie: świadomość, iż każde słowo jest drukowane, że je czytają tysiące... Cóż chcecie? Shaw liczył wówczas lat dwadzieścia... Ale żadna redakcya artykułów jego przyjąć nie chciała. Każda miała swoich robotników, a zresztą: prace tego chłopca odbijały jaskrawo tonem i śmiałością od maniery „ulubieńców“ publiczności, a taka jaskrawość jest przecież niebezpieczną dla każdego „szanującego się“ pisma codziennego.

Postanowił więc zostać — działaczem, politycznym. Przeczytał „Kapitał“ Marksa, zaznajomił się ze słownictwem partyi radykalnej i wystąpił publicznie jako mówca ludowy. Tu już nie stał mu na zawadzie żaden nakładca, „dusigrosz spekulant“ (wszystkie nieuznane wielkości tak ich nazywają), żaden redaktor, „okłamywacz opinii“ (zwą ich tak wszyscy... kandydaci na dziennikarzy). Shaw miał rzeczywisty talent agitacyjny. W ciągu dwunastu lat swej działalności politycznej zrobił istotnie wiele. Lecz wkrótce zdobył przeświadczenie, iż nie w marksizmie leży szczęście i droga ewolucyjna ludzkości. Założył tedy klub „The Fabian Society“, gdzie wespół z ludźmi podobnych sobie zapatrywań zwalczał idee marksowskie, równocześnie swe własne wprowadzając w użycie.

Lecz w tym rozpalonym agitatorze i trybunie ludowym wciąż odzywał się — artysta. Działalność społeczna wypełnić nie zdołała całkowicie treści jego życia. W miarę jak się w nim ukrzepiały kontury przyszłego gmachu społecznego, rosła też tęsknota za tym tajemniczym a tak nęcącym światem, w którym nie dobro, lecz piękno prym wiedzie, a Rzeczywistość ustępuje świadomie przędzonej tkaninie Ułudy-Sztuki. Tej tęsknocie dawał wyraz już nie jako samoistny twórca artystyczny, lecz jako sędzia tworów obcych. Wchłonąwszy w siebie wszystko, co druga połowa w. XIX na polu sztuki wytworzyła, począł sądzić to, co mu się niewłaściwem wydało w produkcyi artystycznej własnej ojczyzny. Jako krytyk muzyczny i literacki wybłysnął też niebawem i zajął stanowisko niemal pierwszorzędne. Rozprawy jego „The Quintessence of Ibsenizm“ i „The Perfect Wagnerite“ stanowią wrota, któremi do Anglii przedostały się prądy artystyczne, współcześnie nurtujące na kontynencie,

Lecz i ta działalność nie zdołała zgasić iskry, co bezustannie tliła się w jego duszy, przysypana rozmyślnie popiołem. Wciąż buntował się w nim duch poety, domagając się przeobrażenia w krew i ciało — aktu twórczego uniezależnionego, samodzielnego.

Duch ten wreszcie zwyciężył. Shaw zaciągnął się pod sztandar dramaturgii.

* * *

— Przez trzy lata — powiada Shaw — uczęszczałem pilnie do londyńskich teatrów, wskutek czego nabawiłem się śmiertelnej choroby. W duszy poczułem próżnię... Poszedłem więc w góry... W okręgu wielomilowym nie było widać żadnego budynku teatralnego. Tu odżyłem...

Zwierzenie to charakteryzuje znakomicie zarówno samego Shawa, jak jego twórczość. Jest ona protestem przeciw rozpanoszeniu się tak bardzo, niestety, okłaskiwanych fabrykatów scenicznych, przeszarzanych, dla tych rzesz, które tanimi efektami, płaską gadaniną, grubymi konceptami trzeba „zaintrygować“ i zabawić. Jacyście wy wstrętni, wy fabrykanci melodramatycznych, ckliwo - płaczliwych lub płytko-pornograficznych płodów — mówi każde pociągnięcie pióra Shawa. Na tem zasadza się tendencya jego utworów. Poznać się na niej potrzeba koniecznie, chcąc należycie zrozumieć i ocenić Bernarda Shaw. Pisząc swe dramaty, myślał: pokażę moim ziomkom, na jak nizkim poziomie się znajdują, rozkoszując się w teatrze utworami, których wartość równa się zeru; a dalej: jak śmieszną jest osnowa i robota sceniczna tych fabrykatów, jeśli się na nie spojrzy przez szkiełko krytyczne.

Takie jest powstanie dramatów Shaw'a. Należy je traktować jako udramatyzowane krytyki satyryczne. Widz czy czytelnik musi mieć przeświadczenie, że to, co mu Shaw prawi przez usta osób występujących w dramacie, nie jest właściwie jego poglądem, lecz sparodyowanym poglądem cudzym. Bez tej świadomości łatwo zbłądzić można w ogniu krzyżowym zdań, często sprzecznych, odbiegających od siebie, a mających tylko wtedy uzasadnienie przyczynowe, jeśli się je pojmie w znaczeniu przenośnem, a nie takiem, w jakiem są właściwie wypowiedziane.

Najwyraźniej rys ten, właściwy dramatom Shaw'a, przejawia się w utworze „The Devil's Disciple“ (Uczeń djabelski). Pozornie dramat ten ma wszelkie cechy typowego melodramatu. Cały aparat sceniczny tego dowodzi. Ojciec ginący na polu walki, testament, dział ojcowizny, dwaj niezgodni bracia, pastor przemieniający się w żołnierza, sąd wojenny, szubienica przez cały akt wyzierająca ze sceny itd. itd. — wszystko to są znane do przesytu i ograne do niemożliwości fajerwerki melodramatycznej akcyi à la Birch-Pfeiffer, wszystko to są środki i środeczki, „robiące“ zgrozę wśród publiczności. Wszystkie te czynniki są w „Uczniu djabelskim“ Shawa. Tylko jak wspaniale umiejscowione, jak djabelnie zaprawdę obok siebie zestawione! Jest np. scena „wzruszająca.“ Dzieją się takie rzeczy, że najobojętniejszemu włosy na głowie bieleć powinny. Wszyscy wzruszeni... Wtem! Jeden zwrot. Jedno słówko. Jeden zręczny manewr. A całe to napięcia, całe zainteresowanie rozwiewa się... Nastrój z błyskawiczną szybkością zmienia się: skądś, znienacka, wyłania się śmieszna strona tej tak mocno „wzruszającej“ sceny. Osoby, w dramacie występujące, widzą, jak bardzo przy całej swej tragiczności i patosie są naiwni, małostkowi, głupi...

Albo naprzykład dramat p. t. „Candida.“ Jest to parodya prerafaelityzmu... na scenie. Przypomnijcie sobie główki kobiece Burne Jonesa, Cranera i innych, te jasnookie, eteryczne postacie i przenieście je w światło kinkietów. Każcie im zejść z ram i żyć— żyć życiem rzeczywistem, ocierać się o świat, ludzi, charaktery sprzeczne, poglądy i cele trywialne, odbierzcie im owo spojrzenie hen gdzieś w zaświaty, a każcie im stać się takimi krótkowidzami, jak każdy *homo sapiens*. Istoty te drżeć poczną, jak osika, przeginać się i schnąć, aż wreszcie zmarnieją...

Taką bezpacierzową postać wprowadza Shaw w życie. Przeciwstawia sobie dwa typy: człowieka z duszą wrażliwą jak mimoza, nerwami przeczulonymi, i drugiego, niewiedzącego wcale, co to wewnętrzne pobudki, co dusza i jej tajemnicze działania, lecz doskonale obznajmionego z zewnętrznymi warunkami i wymogami życia. Oba te biegunowo skrajne osobniki związał kaprys losu jedną spójnią: kobietą. Nastrój, w którym każdy się znajduje, obala wszelką możliwość porozumienia. Im bardziej jeden duszę swą schorzałą odsłania, tem niezrozumialszym staje się dla drugiego. I naodwrót. Znajomość życiowa drugiego jest dla pierwszego męką niewypowiedzianą.

Na tem tle rozwija Shaw swą satyrę. Pokazuje, jak tragicznem jest stanowisko każdego z osobna, a jak śmiesznem zestawienie obu. Ich zestawienie niewymowną radość zdaje mu się sprawiać. Wyszukuje takie sytuacye, w których wykluczają się wzajem, a przecież magnetycznie ku sobie ciążą.

A nad wszystkiem unosi się wszechobecny w dziełach Shawa motyw: krytyka społeczeństwa. To już nawet nie krytyka— to biczowanie, cięcia, powodujące krwawe guzy.

Tu zbiegają się wszystkie składniki twórczości Shaw'a, których zespół stanowi całość, dziwnie odbijającą od szarego tła fabrykantów scenicznych w Anglii. Podczas gdy ci produkując bądź typowe widowiska dramatyczne, bądź płaskie farsy, nic oryginalnego nie wnoszą — Shaw jest jedynym może obecnie dramaturgiem angielskim, który zrzekając się tanich sukcesów i kompromisów z publicznością, ma odwagę kroczenia własnemi ścieżynami.

A ścieżynami temi wije się przejście do przyszłej formy dramatu europejskiego: tragikomedyi.

Shaw jest jednym z nielicznych, którzy to przeczuli.

Bertold Merwin.

*) Drei Dramen von Bernard Shaw: Candida; Ein Teufelskerl; Helden. 1903. Verlag von Cotta. Stuttgart.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Maciej Szukiewicz: *Odkupienie*, fragment dramatyczny w 3 aktach.

Spotkałem się nieraz z twierdzeniem, że w najidealniejszym nawet ustroju społecznym, wyłączającym zupełnie tę przygniatającą dziś ogół ludzkości i wysysającą z niej najlepszy szpik życia troską o byt, o zaspokojenie najpilniejszych potrzeb *głodu*, pozostanie jedna kategorya cierpień, których żadne zmiany i przekształcenia społeczne usunąć nie zdołają,

a mianowicie — udręczenia niezaspokojonej lub zawiedzionej *miłości*. Trudno rozstrzygać dzisiaj, w jaki sposób załatwi się z tą sprawą przyszłość daleka, to pewna jednak, że w dziedzinie sztuki współczesnej, a zwłaszcza powieściopisarstwa i literatury dramatycznej, zawikłania i męczarnie duchowe, wypływające z tego właśnie źródła, a spotęgowane jeszcze częstokroć przez obowiązującą obecnie nierozerwalność małżeństwa, stanowią nie od dzisiaj lwią część poruszanych zagadnień, co świadczy chyba, że i w obecnych czasach ten rodzaj cierpień dał się już uczuć boleśnie, jeśli nie ogółowi całemu, to przynajmniej tym jego warstwom, w których imieniu zabiera przeważnie głos literatura współczesna.

Ileż to razy i u nas, począwszy chociażby od pięknej „Leny“ Jasieńczyka, rozbrzmiewały już z desek scenicznych mniej lub bardziej wymowne skargi na ślepą moc życia, gniotącą w sposób brutalny subtelne kwiaty miłości; ileż to razy w powieści i dramacie naszym spotykaliśmy się z lekkomyślnie lub nieszczęśliwie zawartemi związkami małżeńskimi i niemałżeńskimi, skazującymi na cierpienia nietylko swych bezpośrednich uczestników. Że sprawa wciąż jeszcze pozostaje żywotną i palącą dla pewnej części umysłów współczesnych, świadczy fakt jednoczesnego prawie powrotu do niej aż w trzech utworach („Ahaswer“ Zapolskiej, „Karykatury“ Kisielewskiego i „Odkupienie“ Szukiewicza), z których dwa ostatnie, choć napisane bez zależności wzajemnej, przypadkowym zbiegiem wydarzeń pozostają i pod względem samej bajki w pokrewieństwie blizkiem, jak gdyby były dwoma różnemi opracowaniami tego samego tematu.

W „Odkupieniu,“ podobnie jak i w „Karykaturach,“ mamy do czynienia ze związkiem trwałym dwojga istot, niedobranych duchowo (tam młody literat i szwaczka, tu — malarz i modelka), połączonych jedynie przez ślepy los, uniesienie czy zapomnienie się chwilowe, oraz pewnego rodzaju poczucie obowiązku u mężczyzny, każące mu wziąć na swe barki następstwa tej lekkomyślności czy szału. W jednym i drugim utworze kobieta kochać nie przestaje, mężczyzna, właściwie mówiąc, nie kochał wcale, więc szamocze się tylko i dręczy w obcych dla siebie warunkach; w obu sztukach wreszcie z jego strony w grę wchodzi jeszcze uczucie inne, naturalniejsze i lepiej dobrane, którego ujawnienie doprowadzić musi do katastrofy i jest źródłem męczarni dla trojga ludzi, choć prawdziwie winnego wskazać między nimi niełatwo. Powierzchowny, przeciętny pogląd na sprawy życia odnajdzie go zapewne w sztuce p. Szukiewicza, do czego nawet zastosowany został na scenie naszej tytuł utworu, który brzmiał pierwotnie inaczej. Istotnie, ów młody malarz Kiryłło postąpił *źle*, ulegając chwilowemu obłędowi zmysłów, choć łączyła go już miłość głębsza i nawet narzeczeństwo z kim innym. Zabrakło mu odwagi do uprzedzenia w czasie właściwym Heleny, że tę „winę“ swoją zdecydował się okupić małżeństwem z kochającą go, choć niekochaną dziewczyną, która ma zostać matką jego dziecka. Gdzie jednak stosunek tej winy do kary, którą jest w dramacie złamanie życia trzech istot i śmierć jednej z nich, obciążająca znów pozornie nieszczęśliwego malarza? A przedewszystkiem za co cierpi Helena, która z taką ufnością szła do pracowni narzeczonego-laureata i, rozmawiając już nawet z jego żoną, nie przeczuwała jeszcze, jaki cios ma spaść na nią za chwilę?

Na te pytania sztuka odpowiedzieć nie może, jak nigdy prawie nie odpowiada na nie życie, w którem ten brak ustosunkowania słusznego między przewinieniem a karą, przyczyną a skutkiem, te męczarnie i cierpienia bez winy, stanowią może jedną z klątw najstraszniejszych. Zrozumiał to doskonale p. Szukiewicz i uwydatnił znakomicie w akcie drugim, w kilku zwłaszcza jego scenach końcowych, gdzie napięcie dramatyczne dochodzi do szczytu, gdzie rozgrywa się przed widzami żywa tragedya trzech zmiażdżonych przez życie serc ludzkich, przemawia ból krwawy, bezpośredni. W tych scenach dramatu wyraża się w całej pełni istota i treść zasadnicza utworu; wszystkie inne to tylko dodatek, poprawny i zajmujący, a przytem potrzebny w akcie pierwszym, rażący paru niezręcznościami i ogólnym tonem melodramatycznym, a właściwie zbyteczny zgoła w odsłonie trzeciej. Widz ma chwilowo żal do autora, że po wstrząsających scenach aktu drugiego nie oszczędził mu na zakończenie mamek, teściowych i innych trywialności życia, że zbyt daleko posunął zarówno niedomyślność ojca Heleny, jak i jego odpychający brak delikatności, lecz niemiłe wrażenia przechodzą prędko, a wspomnienie aktu drugiego pozostaje, pozwalając rokować pomyślnie o talencie dramatycznym p. M. Szukiewicza.

„Odkupienie“ od przedstawienia pierwszego cieszy się w Warszawie powodzeniem zupełnem, do czego przyczynia się w znacznej mierze i przepyszna, pełna szczerego uczucia i subtelnej dyskrecyi gra pań Przybyłko i Federowiczowej, odtwarzających główne role kobiece: żony i narzeczonej malarza Kiryłły. Rolę tego ostatniego gra p. Żelazowski. Nie popsuł jej, naturalnie; owszem, ma w niej chwile bardzo szczęśliwe, lecz wygląda wogóle za staro. Inne postacie tej sztuki to tylko sylwetki, w których jednak w rolach przyjaciół i kolegów Kiryłły wyróżnić się zdołali dodatnio pp. Szobert, Roland, Wostrowski i Tatarkiewicz. Trochę za krzykliwą teściową była p. Borkowska, a p. Rapacki, jako ojciec Heleny, miał dosyć niewdzięczne zadanie wystąpienia epizodycznego w jednej z najsłabszych scen dramatu.

Wł. Bukowiński.

ODCZYTY.

Henryk Galle: *Pan Balcer w Brazylii.* Maryi Konopnickiej.

Fatalność jakaś zaciążyła nad tegoroczną seryą odczytów na rzecz Kasy literackiej. Prelegenci robią wszystko, co od nich zależy, dają tematy zajmujące, opracowują je sumiennie, wygłaszają z zapałem, co wszystko zdawałoby się, powinno ściągać tłumy do sali ratuszowej, gdy tymczasem świeci ona przeważnie pustkami, i niema widocznie sposobu przekonania t. zw. inteligencyi naszej, że dopiero i na odczycie można spędzić niekiedy godzinę czasu, niemniej przyjemnie i pożytecznie, choć naturalnie inaczej, niż w cyrku, na operetce lub nawet jednym z niezliczonych koncertów, gdzie przecież bywa zawsze tak pełno.

Nie uniknął ogólnego losu prelegentów tegorocznych i p. Henryk Galle, choć doprawdy jego piękny i sumiennie opracowany wykład o tak mało znanym szerszej publiczności „Panu Balcerze w Brazylii“ powinien był wzbudzić zajęcie.

Zaznaczywszy na wstępie zasługę Konopnickiej, która, po wielu latach wszechwładztwa liryki w poezyi naszej, dowiodła znowu, że „zdrój natchnień potężnych nie wysechł u nas, lecz tylko na jakiś czas zapadł pod ziemię,“ że może on wytrysnąć i potoczyć się wartkim strumieniem, byle tylko wiedzieć, „w którą skałę laską Mojżesza uderzyć,“ prelegent dał nam wszechstronny rozbiór estetyczny wspaniałej epopei ludowej, za jaką uznaje „Pana Balcera,“ uzasadniając racyonalnie swój pogląd, i nie wahał się zestawić poematu Konopnickiej z „Panem Tadeuszem,“ uważając go poniekąd za uzupełnienie arcytworu poezyi naszej. Dusza ludu, ten zbiorowy bohater każdej epopei, jego cierpienia i tęsknoty na obczyźnie w pogoni za chlebem i walce o zachowanie bytu, przyroda wreszcie z jej grozą i czarami, przepuszczone przez pryzmat pojęć ludowych, znalazły odzwierciedlenia potężne w niedokończonem dotąd, niestety, arcydziele Konopnickiej, co wszystko uwydatnione zostało przez prelegenta z zapałem młodzieńczym i miłością przedmiotu, cechującemi go zawsze, gdy głos zabiera o największej z naszych poetek.

Wykład p. Gallego nie był powtórzeniem kart, które o „Panu Balcerze“ znajdujemy w książce prelegenta o Konopnickiej, lecz opracowaniem samodzielnem, znacznie rozszerzonem i pogłębionem, zasługuje więc niewątpliwie na rozpowszechnienie w druku, gdyż na odczycie tylko szczupła liczba słuchaczów zapoznać się z nim mogła.

Wł. B.

Notatki literackie i artystyczne.

MEDYCYNA I HYGIENA. Dr. E. Piasecki: „Atletyzm a wychowanie.“ Wpółczesna gimnastyka wobec fizyologii i hygieny.

— Dr. A. Koch: „Poradnik lekarski,“ przekł. z 6-go wydania niem. dr. Bartoszewicza. Nakł. Grendyszyńskiego.

— Dr. W. Z.: „Szkodliwość środków sztucznej niepłodności,“ nakł. Paprockiego.

ANTROPOLOGIA. André Lefèvre (prof. à l'école d'antropologie): „Germains et slaves, origines et croyances,“ Paris, Schleichar fréres. Librair.e C. Reinwald.

KOMEDYE: St. Brandowski: „Bracia szlachta,“ 4 akty. Kraków.

STUD. PSYCH. M. Maeterlinck: „O kobiecie,“ przekł. W Wagnerowej, nakł. ks. Borkowskiego.

PODRĘCZNIKI P. Chmielowski: „Stylistyka polska wraz z nauką kompozycyi pisarskiej,“ nakł. Gebethnera i Wolffa.

KALENDARZ *Gazety Kaliskiej* informacyjno-adresowy — za r. 1903.

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH, wyd. ks. Arcta:

— M. Offmański: „Dola i niedola J. Sobieskiego,“ streszczenie z dzieła T. Korzona, c. 25 kop.

— Dr. St. Gałecki: „Ważniejsze pasorzyty ludzkie wewnętrzne i zewnętrzne,“ c. 10 kop.

— Dr. Lewiński: „Jak powinien zachować się chory na żołądek, c. 10 kop.

— F. Hösick: „Nad wodą wielką i czystą“ (z życia poetów nad Lemanem), c. 20 kop.

— L. Tatomir: „Król Kazimierz W.“, zarys hist. c. 25 kop.

— St. Brzozowski: „Jędrzej Śniadecki, jego życie i dzieła,“ c. 20 kop.

— H. Galle: „Józef Korzeniowski, jego życie i pisma,“ c. 20 kop.

— A. Krasnowolski: „Samokształcenie podług Pawła Hoche.“

— M. Morzkowska: „Kobieta czasów obecnych,“ c. 15 kop.

— K. Skrzyńska: „Ziemia pod względem geologicznym,“ c. 20 kop.

— Wł. Smoleński: „Rządy pruskie na ziemiach polskich,“ c. 15 kop.

SPRAWY EKONOMICZNE

Wpływ deszczu na handel. Niewielu uczonych, a jeszcze mniej mężów stanu i polityków zastanawiało się nad niezmiernie ciekawym objawem, mianowicie nad wpływem deszczu na handel. A jednak pomiędzy tymi dwoma, tak bardzo różnymi objawami, istnieje

ścisły, przyczynowy związek, jak to starał się wykazać uczony amerykański, Helm Clayton, kierownik obserwatoryum meteorologicznego w Blue Hill. Ponieważ nie mamy materyału, odnoszącego się do naszego własnego kraju, przeto zniewoleni jesteśmy oprzeć się w całości na danych amerykańskich, wysoce pouczających i przekonywających.

Podstawową potrzebą człowieka jest niewątpliwie dostateczna ilość pokarmu. Gdy głód zostanie w całości zaspokojony, na inne sprawy ludzkie pozostaje jeszcze pewna ilość energii, będącej pierwszym warunkiem pomyślności.

W obecnym stanie naszej kultury prawie cały pokarm wydobywa się z ziemi, a ilość jego zależy od pogody. Stosunek pomiędzy ilością pokarmu a stanem pogody był już do pewnego stopnia badany i stwierdzono, że produkcya środków spożywczych zależy od temperatury i wilgotności, będącej wynikiem opadów atmosferycznych. Roczna zmiana temperatury jest względnie stała, tak że deszcz jest ostatecznie czynnikiem najpotężniej wpływającym na produkcyę pokarmów.

J. T. Wills badał stosunek deszczu do produkcyi pszenicy na akr w Australii południowej przez przeciąg sześciu miesięcy zimowych (stanowiących tam właśnie porę wegetacyi) i znalazł, że dla sześciu najlepszych lat otrzymano plon 12,4 buszli pszenicy przy 18,8 calach deszczu; dla następnych sześciu najlepszych lat — 10,0 buszli przy 15,4 calach deszczu; wreszcie dla sześciu najgorszych lat otrzymano 6,6 buszli przy 13,3 calach deszczu. Plon pszenicy w pierwszym razie był niemal dwa razy tak wielki, jak w ostatnim. Jeżeli taki sam stosunek istnieje i dla Stanów Zjednoczonych, to można mieć dopiero pojęcie, jak wielki wpływ musi mieć susza na produkcyę pokarmu. Gdyby ilość pszenicy została w St. Zjednoczonych zredukowana do połowy lub tylko do jednej trzeciej przez rok niedostatecznych opadów atmosferycznych, to nie trudno wyobrazić sobie, jakiby był wpływ tego na przebieg interesów w całym kraju i że szereg takich lat spowodowałby koniecznie klęskę. Zmniejszony plon pszenicy przy cenie 80 centów za buszel, w jednym tylko roku przyniósłby stratę 100 mil. dolarów, to znaczy, że niemal wszystka pszenica, przeznaczona na wywóz, musiałaby zostać na rynku wewnętrznym, że tysiące wagonów kolejowych i okrętów, przewożących zboże w zwyczajnych warunkach, stałoby bezczynnie; że setki ludzi, zajętych ładowaniem towarów, zostałoby skazanych na bezrobocie; że farmerzy w wielkiej ilości nie mogliby dotrzymać swych zobowiązań, a wskutek tego banki i inne interesy mocnoby ucierpiały.

Niedostatek deszczu wpływa bardzo ujemnie nietylko na produkcyę pszenicy samej; Rawson ułożył formułę dla Barbados, według której ilość mającego się wywieźć cukru w roku następnym oblicza się na podstawie ilości deszczu z roku poprzedniego. Podobnego obliczenia dla Jamajki dokonał Maxwel Hall. Wykazuje on, że 55 cali deszczu daje 1,441 baryłek cukru na akr, kiedy 79 cali daje 1,359, czyli około jednę dziesiątą więcej. Oznacza to inaczej mówiąc, przyrost wartości plonu cukrowego o 100,000 dol.

Takie ścisłe badania nie zostały przeprowadzone nawet dla Stanów Zjednoczonych, lecz powyższe dane dowodzą jasno nadzwyczajnych wahań w obfitości pokarmu, zarówno roślinnego jak i zwierzęcego, towarzyszących wahaniom w opadach atmosferycznych; wskazują one, do jakiego stopnia wahania te muszą wpływać na producentów, kompanie przewozowe, kupców i spożywców. Stąd wreszcie łatwo sobie wyobrazić wielki wpływ ich na handel.

Tablica, dołączona do oryginalnej pracy uczonego amerykańskiego, wskazuje, iż spostrzeżenia, czynione w Stanach Zjednoczonych, zaczęły się w dolinie Ohio w okresie, w którym ilość deszczu przekraczała normę. Trwało to przez rok 1832, poczem nastąpiła susza, niustająca aż do r. 1840. Silna panika finansowa z r. 1837 przypada właśnie na środek tej suszy, a w dwa lata po największym braku deszczu w dolinie Ohio. Statystyka opadów atmosferycznych dla Nowej Anglii wskazuje, że w tym samym czasie istniała bardzo silna susza i w stanach wschodnich, która punktu kulminacyjnego dosięgła w latach 1836—7, kiedy roczny opad atmosferyczny doszedł niemal do 9 cali poniżej normy. W r. 1841 zaczął się okres obfitych deszczów, trwających aż do r. 1853, po którym nastąpił okres suszy, największej w r. 1855 w dolinie Mississippi, a w r. 1856 w dolinie Ohio. Potem właśnie wybuchła ostra panika finansowa z r. 1857. Poczem znowu nastąpił okres obfitych opadów atmosferycznych, trwający aż do r. 1860 w dolinie Ohio, a do r. 1862 w dolinie Mississippi, i znowu okres niedostatecznego deszczu w latach 1863—4.

Wykazy te prowadzone są aż do r. 1897, lecz nam wystarczają w zupełności powyżej przytoczone daty. Z nich widzimy jasno, jak na dłoni, że każda panika finansowa była ściśle związana z długim okresem suszy i że nie było okresu dłuższej suszy, po którymby nie nastąpiła panika. Stąd trudno jest uwolnić się od przekonania, że niedostateczne opady atmosferyczne są główną przyczyną zastoju handlowego.

PRASA ROSYJSKA.

Nowoje Wremia (nr. 9698) umieściło następujący artykuł p. Syromiatkina w sprawie druków litewskich:

„Nareszcie wyższe władze gub. północno-zachodnich zajęły się sprawą doniosłości państwowej, mianowicie sprawą czcionek litewskich. Jest to rzecz nader poważna dla sprawy rosyjskiej na kresach i nader żywotna dla dwu milionów poddanych rosyjskich pochodzenia litewskiego.

Litwini zjawili się na widowni historycznej później, niż Polacy i Rosyanie. Pozostając początkowo pod silnym wpływem ruskiej oświaty i państwowości, Litwini, po unii z Polską, dostali się pod wpływ Polaków, wsparty przez katolicyzm. Litewską literaturę narodową powołał do życia luteranizm, który utworzył życie narodowościowe plemienia litewskiego. Pierwsza książka litewska ukazała się w roku 1547, a przed stuleciem XIX książek tych wydano nie więcej nad 138. I te książki niszczyło duchowieństwo katolickie, które w narodowościowej literaturze litewskiej dopatrywało się początków protestantyzmu. Dopiero wówczas, gdy w początkach stulecia minionego wpływ polityczny duchowieństwa polskiego w gub. północno-zachodnich ograniczono, piśmiennictwo litewskie zaczęło szybko się rozwijać. W pierwszej połowie XIX w. wydano przeszło 300 książek litewskich, a w połowie drugiej — przeszło tysiąc. Dążenie do pośpiechu w odpolszczeniu narodu litewskiego podsunęło hr. Murawiewowi myśl wydania w r. 1864 polecenia w sprawie drukowania książek litewskich i żmudzkich wyłącznie czcionkami rosyjskiemi. Wszakże rozporządzenie to, poparte przez okólnik ministeryum spraw wewnętrznych z d. 13 września 1866 r., nietylko nie sprowadziło odpolszczenia ludności litewskiej, lecz zniosło zupełnie wydawnictwa litewskie w Cesarstwie i działalność wydawnicza dwumilionowej ludności litewskiej przeniosła się do Prus, mających pół miliona Litwinów, i do Ameryki, gdzie jest nie więcej nad 300,000 mieszkańców litewskich. Nawykła od lat trzystu do czcionek łacińskich, ludność litewska nie czytała wcale książek, drukowanych czcionkami rosyjskiemi, uważała je za heretyckie i dokładała wszelkich usiłowań w celu sprowadzania z zagranicy książek drukowanych czcionkami łacińskiemi. Ani konfiskowanie tych książek, ani kary pieniężne, ani więzienie nie były zdolne powstrzymać kontrabandy książkowej. O rozpowszechnieniu książek, sprowadzanych z zagranicy, świadczy fakt, że pomiędzy r. 1891 a 1902 komora celna skonfiskowała 173,000 książek litewskich, a nie mniej skonfiskowała ich policya. Przeszło 30,000 egzemplarzy drukuje się corocznie litewskich książek do nabożeństwa, a chociaż kosztują one po 2 rb., to jednak rozchodzą się bardzo, gdy drukowane czcionkami rosyjskiemi, choć kosztują tylko 30 kop., nie rozchodzą się wcale. Pomiędzy r. 1864 a 1891 wydano zaledwie 25 książek drukowanych czcionkami rosyjskiemi, mianowicie abecadła, podręczniki, książki do nabożeństwa i kilka książek treści religijnej i beletrystycznej. Za granicą w tym samym przeciągu czasu wydano przeszło 700 książek i gazet. P. A. Milsikas, wydawca litewskiego albumu patryotycznego w Shenandoahu w Ameryce, powiada: W r. 1883 patryoci litewscy zdołali rozpocząć wydawanie w Niemczech miesięcznika *Auszra*. Potem przypadł druk całego szeregu książek i pism peryodycznych, które rozpowszechniły się bardzo po całej Litwie, dzięki zorganizowanej poczcie potajemnej. Obrona linii granicznej przez kozaków i surowe kary, spadające na Litwinów, w razie znalezienia u nich książek litewskich, nie doprowadziły władz do wyników pomyślnych. (*Lietuviskas Album*, I, Shenandoah, 1900).

Tak więc naród litewski, niechcący spolszczenia i walczący z patryotami polskimi w gub. północno-zachodnich, zniewolono do zdobywania pokarmu umysłowego drogą kontrabandy z zagranicy, na co nie był skazany żaden z narodów, żyjących pod berłem Monarchy Rosyi. Wobec tego czyż można się dziwić, że naród ten zaczął zwracać się na Zachód, nie zaś na Wschód. Wprawdzie Litwini uczą się w szkołach i uniwersytetach rosyjskich i stoi dla nich otworem literatura rosyjska, skoro jednak literatura litewska istnieje od lat 350, to czyż przez zabranianie jej nie czyni się z niej owocu najbardziej pożądanego przez myślących i wykształconych Litwinów, zwłaszcza, że rosyjska Akademia nauk wydawnictwa naukowe litewskie drukuje nie rosyjskiemi, lecz łacińskiemi czcionkami.

Dołożywszy tylu starań i zabiegów do rządzenia literą litewską, usunęliśmy z pod naszego wpływu ducha litewskiego, który teraz zasila się literaturą zakordonową, częstokroć wrogą dla narodu rosyjskiego i jego interesów. Wyzwolenie pisma litewsko-łacińskiego z krępujących go więzów da możność Litwinom, zamieszkałym w Cesarstwie, wyświetlić sobie położenie ich pośród innych ludów państwa i pogodzić ich potrzeby z potrzebami narodu rosyjskiego, w którego języku napisana została pierwsza „Prawda Litewska.“ *Now. Wr.* już w r. 1887 (nr. 4,221) broniło opinii o konieczności cofnięcia zarządzenia hr. Murawiewa, a im spieszniej zniesiony będzie zakaz drukowania książek litewskich i żmudzkich czcionkami łacińskiemi, tem pożyteczniejsze to będzie dla sprawy rosyjskiej w gub. północno-zachodnich.“

KRONIKA.

Wiadomości urzędowe. *Prawit. Wiestnik* ogłasza: „Dnia 22 marca r. b., w m. Złatouście gub. Ufańskiej, w fabryce rządowej żelaza i szyn, około 160 robotników cechu wielkiej blachowni odmówiło przyjęcia nowych książeczek obrachunkowych i oświadczyło, iż nazajutrz porzucą pracę. W ciągu d. 22 b. m. robotnicy zachowywali się spokojnie, nazajutrz zaś zgromadziła się na placu ciżba około [illegible]0 osób, wyrażając niezgodę na nowe warunki. Wobec możliwości zamieszek wyjechali z Ufy do Złatousta: gubernator ufański, rz. r. st. Bogdanowicz, prokurator ufańskiego sądu okręgowego i naczelnik gubernialnego zarządu żandarmów, pułkownik Szatow. D. 26 b. m. tłum robotników żądał uwolnienia trzech uwięzionych i oblegał urząd policyi, mieszkanie rotmistrza Dołgowa, oraz dom naczelnika górnictwa, w którym wybił szyby i wyłamywał drzwi. Pomimo napomnień, tłum przemocą nie pozwolił prokuratorowi przyjechać do więzienia i gwałtownie dobijał się do domu naczelnika górni-

ctwa, podążywszy tam w ślad za gubernatorem, nie bacząc na jego przestrogi. Natenczas gubernator był zniewolony zażądać od dowódcy batalionu użycia oręża. Ciżba wyłamywała drzwi domu i strzelała z rewolwerów, przyczem lekko raniono pomocnika sprawnika i podoficera żandarmów Izwiergina. Po salwie tłum się rozproszył. Legło na placu 28 zabitych. Rannionych jest przeszło 50. Dnia 27 marca bezrobocie się skończyło i wszystkie cechy stanęły do pracy."

— *Siew. Zop. Słowo* ogłosiło następujące rozporządzenie generał-gubernatora wileńskiego z powodu zajść, które wydarzyły się d. 1 b. m. w teatrze „Harmonia" w Białymstoku: „Rozpoznawszy przedstawione przez gubernatora grodzieńskiego wyniki badań osób winnych przekroczenia obowiązujących przepisów, wydanych d. 19 stycznia 1902 r. dla m. Białegostoku, główny naczelnik kraju, na mocy ustawy o wzmożonej ochronie, polecił gubernatorowi skazać: 4 winnych (wymieniono nazwiska) na 3 miesiące aresztu 21—na 2 miesiące i 6—na miesiąc." Wszyscy skazani są Żydzi, wśród nich jest 6 kobiet.

— W „Zbiorze praw i rozporządzeń" ogłoszono przepisy czasowe o kasach pomocy dla robotników w kopalniach i fabrykach, Huta Bankowa, Katarzyna, Tow. Sosnowieckie, Tow. Francusko-Włoskie, Hr. Renard, Czeladź, Flora, Jan, Antoni i Tow. warsz. kopalni węgla.

Wiadomości społeczne. *Warsz. Dn.* donosi, że między włościanami wsi Sanie-Dąb a Gołasze-Dąb (gub. Łomżyńska) wynikła bójka z powodu gruntu spornego. W dniu 10 b. m., włościanie wsi Sanie-Dąb, w liczbie około 30, zaczęli orać grunt wspomniany, napotkali jednak na opór ze strony kilkudziesięciu sąsiadów ze wsi Gołasze-Dąb. Podczas bójki zabito dwóch włościan, a ośmiu odniosło ciężkie lub lżejsze rany. Przybyła na miejsce wypadku policya powiatu Mazowieckiego aresztowała 9 osób, które odstawiono do Mazowiecka.

— Sprawa o „Bagno" zakopiańskie oprze się o kratki sądowe w Krakowie. Szwagier dr. Chramca, dr. Gaik, pozywa p. Witkiewicza dopatrzywszy się w jego broszurze obrazy swojego honoru.

— *Arbeiterzeitung* ogłosił tajny rozkaz austryackiego ministra wojny o usuwaniu z szeregów armii agitacyj socyalistycznych i narodowościowych.

— W Niemczech wzniesiono do tej pory Wilhelmowi I 318 pomników, których koszt wynosi 20 mil. marek.

— Z Bremy donoszą, że ruch emigracyjny do Stanów Zjednoczonych wzmógł się tak bardzo, iż ustanowiono osobne parowce dla zabierania wychodźców. Wyjeżdżają przeważnie Chorwaci i Polacy.

— „Bürgerverein" wydał do Niemców, mieszkających w Białej, Bielsku i okolicy, odezwę, w której oświadcza, że zarówno Bielsk, Biała, Oświęcim i Zator, jak inne miasta sąsiednie założone zostały przez Niemców, których usiłowano spolszczyć, a usiłowania te nie pozostały bez skutku, gdyż jedna osoba po drugiej zatracała charakter niemiecki, przyjmowała język i obyczaj polski, a dziś dokonywa się tam polonizacya Niemców z przerażającą szybkością. Wobec tego rada miejska uchwaliła założyć w Białej muzeum ginących zabytków niemczyzny w Księstwie Oświecimskiem, ażeby ocalić jeszcze to, co pozostało z „wielkiej puścizny niemieckiej."

Z Poznańskiego. Zgromadzenie Polaków, zwołane w pobliżu Bochum, zostało rozwiązane, ponieważ żaden z mówców nie chciał przemawiać po niemiecku.

— *Gazeta Polska* podaje za *Dziennikiem Berlińskim* co następuje: „Zasadniczy wyrok w sprawie używania na zebraniach publicznych języka polskiego, zapadł w tych dniach w najwyższym sądzie administracyjnym w Berlinie. Skargę wniósł patron Kółek włościańskich, p. Józef Chłapowski z Rzegocina; powodem zaś było zebranie w Rosku, gdzie radca ziemiański (landrat) zażądał, ażeby obrady prowadzone były po niemiecku. Zrobiono radcy ustępstwo i ksiądz Spychalski, inicyator zebrania, zaczął paragrafy ustawy tłomaczyć na język niemiecki. Gdy landrat orzekł, że ks. S. niedostatecznie włada językiem niemieckim, tłomaczenia podjął się pewien kupiec, ale i to nie zadowoliło władzy i posiedzenie zostało zamknięte. Sprawę wytoczono przed sąd najwyższy, akcyę popierał mec. Adam Woliński z Poznania. Wśród natężonej uwagi słuchaczów zapadł wyrok, w którym sąd „wychodząc z założenia, że według konstytucyi pruskiej językiem państwowym jest niemiecki," dodaje: „z tego jednak nie wynika, jakim językiem posługiwać się winni obywatele państwa między sobą na zebraniach swoich." Wyrok ten jest potępieniem samowoli czynników rządowych."

— *Pielgrzym* pelpliński podaje następujący fakt humorostyczny: „Wielkie niebezpieczeństwo groziło w Łusinie niedawno niemczyźnie. Oto służąca pana X. przemawiała po polsku nawet do... krów. Rozumie się, że p X., który na mleku polskiem się zbogacił ale polaków lubi nazywać jeno „Pulaken", zakazał, jej tego, bo „die Kühe sind evangelisch, kommen von einem evangelischen Herrn!" Szczęście, że owa służąca uciekła. Niema więc obawy, żeby nadal uczyła krowy p. X. po polsku. Inaczej byliby musieli hakatyści zażądać nowego prawa antypolskiego, zaprowadzającego język niemiecki jako „Amtssprache" i u bydła."

Szkoły i wychowanie. Zarząd kanalizacyi i wodociągów w Warszawie odmówił prośbie studentów o przyjęcie ich na praktykę płatną podczas bieżącego lata, tłomacząc odmowę brakiem odpowiedniego zajęcia skutkiem ograniczenia robót.

— Dnia 22 kwietnia rozpoczną się czteromiesięczne kursa pszczelnicze przy Tow. pszczelniczo-ogrodniczem w Warszawie (Wiejska 12).

— Departament oświaty zawiadomił kuratora okręgu naukowego, że dla osób chcących poddać się egzaminowi z 4 klas gimnazyów żeńskich, w celach nabycia praw wstąpienia do zakładów naukowych położniczych lub uzyskania stopnia akuszerki I rzędu, egzamina mogą się odbywać w gimnazyach i progimnazyach męzkich lub w komitecie egzaminacyjnym przy okręgu naukowym.

— Ministeryum oświaty zezwoliło na przyjmowanie do szkół technicznych kandydatów liczących 20 lat wieku. Dotychczasowe przepisy określały wiek odpowiedni tej klasie, która dawała prawo wstępu do szkół pomienionych, tj. piątej klasie szkoły realnej.

— Zarząd kolei Wschodnio-Chińskiej nadesłał do Politechniki warszawskiej zawiadomienie, że na tej drodze wakuje 12 posad dla praktykantów, którzy otrzymywać będą po 75 rb. miesięcznie oraz 200 rb. na podróż w obie strony. Z oferty korzystać mogą studenci kursów wyższych.

— W półroczu zimowem do uniwersytetu lwowskiego uczęszczało 2,414 słuchaczów — 1,756 Polaków i 637 Rusinów.

Wiadomości naukowe. Prof. M. Rudzki, dyrektor krakowskiego obserwatoryum astronomicznego, otrzymał pozwolenie na dokonanie w r. b. w gub. Wołyńskiej wymiarów siły ciężkości i magnetyzmu ziemi, oraz na przewiezienie bez cła przyrządów naukowych.

— VII międzynarodowy kongres rolniczy, który się odbędzie w Rzymie od d. 19 do 23 kwietnia r. b., zajmie się przedstawieniem postępu rolnictwa w ostatnich czasach. Materyał rozpraw kongresu podzielono na 10 sekcyj, których przedmiotem będą: ekonomia rolnicza, nauka rolnictwa, zastosowanie wiedzy do rolnictwa, hodowla bydła, budowle rolnicze, specyalne kultury i na rolnictwie oparte gałęzie przemysłu, tępienie szkodników i patologia roślin, gospodarstwo wodne i uprawa wina.

Ze sztuki. *Rozwój* łódzki ogłasza konkurs na projekt herbu dla Łodzi. Nagrody dwie: 15 i 10 rb.

Literatura i prasa. Wydawnictwo kalendarza humorostycznego „Łodzianka" ogłasza konkurs na humoreskę objętości 400—500 wierszy formatu kalendarza. Nagroda 50 rubli.

Sprawy ekonomiczne. Rosyjskie Towarzystwo techniczne w Petersburgu urządzi w kwietniu r. b. zjazd w celu opracowania projektu możliwie szerokiego rozpowszechnienia żelaza pod rozmaitemi postaciami.

— Do ministeryum skarbu wniesiono podanie o pozwolenie założenia w Warszawie piątego stowarzyszenia pożyczkowo-oszczędnościowego.

— Rada państwa zatwierdziła nową pożyczkę Warszawy w sumie 19 milionów rb. na różne roboty i potrzeby miasta.

— W Petersburgu powstaje towarzystwo, złożone z osób fachowych, mające opracować i rozstrzygać wszelkie sprawy ekonomiczne, finansowe, literackieprawne, kolejowe, statystyczne, hygieniczne, techniczne itp.

Zdrowie publiczne. W Damaszku wybuchła ponownie cholera.

Katastrofy. W Markach pod Warszawą, pożar zniszczył kilkadziesiąt domów włościańskich.

— W okolicach Anglii południowej, w hrabstwie Derby dało się uczuć trzęsienie ziemi, które spowodowało zawalenie się kilku kominów fabrycznych w Altfretonie.

— Przy wejściu do portu nowojorskiego parowiec towarowy „City of Taunton" zetknął się z osobowym „Plymouth" — kilka osób poniosło śmierć na miejscu, gdyż parowiec towarowy wbił się na 10 stóp w głąb osobowego.

— W Karlsruhe było trzęsienie ziemi, połączone z hukiem.

Odpowiedzi Redakcyi.

Bezimiennemu. Nic.

Prenumeratorowi. Nie mamy żadnych stosunków z Ekaterynburgiem i żadnych wiadomości dostarczyć nie możemy.

Panu B. w Kysztymie. Odebrane rb. 10 wysłaliśmy pod adresem komitetu w Stopnicy. Informacyi wcześniej nie mogliśmy zamieścić, gdyż sami nic nie wiedzieliśmy dotąd pewnego.

OFIARY.

Pan Bąkiewicz w Kysztymie w gub. Permskiej rb. 10 na powodzian stopnickich.

SPROSTOWANIE. W nr. 13 artykuł „Głos młodych" podpisał Stanisław, nie Stefan, Wąsowski.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Марта 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.